Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1881. Rok IV.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

# WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

przez

Leopolda hr. Starzeńskiego.

Dnia 8 Lutego 1881 r., o godzinie 6 zrana po raz trzeci odezwał się dzwonek na głównym dworcu we Lwowie, i wyruszył pospieszny pociąg kolei Czerniowieckiej. — W jednym z wagonów siedziało sześciu podróżnych. Kto widział ilość pudełek ze strzelbami, krzesełek myśliwskich i innych przyborów łowieckich, które dwaj strzelcy, i legion cały numerowanych sług kolejowych znosili do tego wagonu, ten wątpić nie mógł, iż to grono myśliwych, które się na jakąś wielką wybiera wyprawę. Pociąg poruszył się z wolna, a potem przyspieszył kroku. Przyrodę w około podwójna okrywała powłoka poranka zimowego i mgły nadzwyczaj gęstej. W wagonie, w którym siedzieli nasi podróżni, zapanowała przez dłuższy czas głucha cisza. Daleka, ciężka, a może i niebezpieczna przed nimi stała wyprawa, u której kresu świtała w dali nadzieja wielkich wprawdzie myśliwskich rozkoszy, ale czyż takowe w istocie urzeczywistnione będą, ale czyż każdy z uczęstników z pewnością doczeka widoku tej oddalonej zorzy? Dla tego to jakaś dziwna zmora w pierwszych chwilach zawisła nad duszą myśliwych naszych. Dla tego to panowało milczenie w owym wagonie, który na daleką wyprawę wiózł to zazwyczaj wesołe grono. Od czasu do czasu wyrwało się nawet z piersi jakieś głuche, przytłumione westchnienie. Nie dziw, wszak każdy pewnie z jadących zostawiał za sobą jakąś drogą sercu istotę, którą dręczył niepokój o losy uczęstnika tej wyprawy. W niejednem oku gdzieś została może łza, która daleko za morza płynąć miała w ślad za naszymi myśliwymi. Taka to łza westchnienie owe z piersi wydzierała. Powoli jednak smutne wrażenia ustąpiły, zawiązała się ożywiona rozmowa, a podstawą jej były w dali widne zapasy myśliwskie, i słyszeć się dawały dziwne nazwy jakieś, jako to: pantera, antylopa, szakal, frankolin i podobna inna nieznana w Europie zwierzyna. Z tej podsłuchanej rozmowy nietrudno było odgadnąć, że to jakieś łowieckie grono puszcza się na daleką, niezwykłą wyprawę, gdzieś daleko po za granice Litwy i Korony.

Ogłoszony w „Łowcu" artykuł podpisany przez Karola Brzozowskiego słynnego poetę naszego, dziś Wice-Konsula hiszpańskiego w Lattakii, a znanego na Wschodzie strzelca pod nazwą: „Kara Audżi", zebrał około niego to myśliwskie grono.

Kilkakrotnie umieszczane później w „Łowcu" artykuły wzywały lubowników łowiectwa w kraju naszym do tej wyprawy uroczej do Syryi. Sądzono, iż tradycyonalne u nas za-

miłowanie do łowiectwa, pozostałości w nas z rycerskiego ducha naszych przodków, zwołają pod ten sztandar liczne zastępy, ale — jak to zawsze u nas bywa, zapał stygnie w miarę zbliżania się stanowczej chwili. Ci, którzyby byli mieli ochotę, nie mieli środków, ci zaś, którym środki niestały na przeszkodzie, niemieli ochoty czy odwagi. — Co gorsza, ci którzy uczęstnikami wyprawy być nie mogli lub niechcieli, odradzali naszym ochotnikom, niewiem czy z dobrej wiary, czy może z zazdrości, i przedstawiali piętrzące się wały trudności różnych, w postaci olbrzymich kosztów i groźnych niebezpieczeństw. Nawet niektóre usłużne dzienniki raczyły się łaskawie zaopiekować tą sprawą, z nałogu wściubiając zawsze swój nos gdzie niepotrzeba, jakby lis do naszego kurnika. — Jeden z nich nazwał tę wyprawę awanturniczą, a nawet w szlachetnym zapale uderzył w popularny u nas dzwonek niby-patryotyzmu, krzycząc zużyty, ale zawsze popłacający frazes: „Wyrzucanie pieniędzy za granicą“. Przytoczył nawet okoliczność, iż wielu jest naszych wychodźców potrzebujących chleba w Stambule i t. d. Na ten zarzut najlepszą już otrzymał ten dziennik odprawę od dowcipnego kronikarza „Dziennika polskiego“ w słowach: „A co Waćpanu do tego?“ Dodać do tego można jeszcze ogólnikowo, niczyjej niechcąc naruszać skromności, iż właśnie ta wyprawa nasza na Wschód, niejednemu z tych wychodźców naszych na Wschodzie większą właśnie przyniosła korzyść, niż wszystkie wykrzykniki i pseudo-patryotyczne fajerwerki dziennikarskie. *Sapienti sat.* W obec tego przekonani jesteśmy, że ów dziennik dziś swego niedorzecznego wystąpienia w tej sprawie szczerze żałować musi.

Wróćmy do naszych podróżnych! do owych sześciu, którzy pociągiem Czerniowieckim puścili się w drogę ze Lwowa do Syryi. Byli to: Kara Audżi, wódz naszej wyprawy, dwaj bracia Józef i Kazimierz hr. Drohojowscy, Piotr Rudzki, przybyły umyślnie z Paryża do Lwowa, by dzielić losy naszej wyprawy, Aleksander Hulimka i ja. Prócz tego dwaj nasi towarzysze Rudzki i Hulimka mieli ze sobą swoich strzelców. Wyprawa nasza składała się więc z ośmiu członków. W Czerniowcach nasz zastęp wzmocnionym został dziesiątym: Michałem Brzostowskim, znanym myśliwym gór Stryjskich, który, jak się później pokazało, prawdziwą się stał opatrznością wyprawy naszej.

Co do mnie, przedsięwziąłem, zachęcony przez Redakcyę „Łowca“ i własnym nałogiem ustawicznego bazgrania doznanych wrażeń, wszystkie, najdrobiazgowsze nawet czasem wypadki naszej wyprawy spisywać sumiennie, by kiedyś podzielić się nimi z braćmi moimi w Hubercie w szpaltach tak chciwie przez nas wszystkich myśliwych czytywanego „Łowca“. Przedewszystkiem zastrzedz się muszę wobec możliwego zarzutu, że opis takiej wyprawy zbyt powierzchownie śmiem traktować. Tak jest w istocie! Te notatki moje nie mają żadnej naukowej, historycznej, ani archeologicznej wartości, i do takowej nie dążą. Odbywamy wyprawę myśliwską, pierwszą podobnoś podjętą przez myśliwskie towarzystwo polskie, w tem więc leży wedle mego przekonania cały jej interes, i tego się trzymam.

Co do opisu podróży po Wschodzie, niechcę pod względem geograficznym i innym rywalizować z Bedekerem, i przeważnie myśliwstwo muszę mieć na oku. Wrażenia, jakie mi się mimowoli pod piórą nasuwają, kreślę na ślepo, bez wiedzy prawie, i za ten nieład myśli z góry przepraszam czytelnika. Archeologiem nie jestem niestety! Nie badam, czy kilka cegieł mniej czy więcej pozostało jeszcze w jakiejś tryumfalnej bramie, przez którą, na co historycy dają słowo honoru, Pompejusz przechodził. Przyrzekam, iż na Azyatyckich wybrzeżach nawet sobie pracy zadawać nie będę, by odszukać owego kamyczka, który wyleciał z procy Dawida i zabił Goliata, szukać nawet nie myślę obręcza z beczki Diogenesa, kopać w ziemi za niczem nie będę, bo się przyznaję do nieuctwa w tej mierze. Jedynem dla mnie ciekawem wykopaliskiem mógłby być chyba lis wykopany z jamy. Bardzo więc pobieżnie zamyślam traktować opis całej podróży, aż do chwili, w której padł nasz pierwszy strzał na azyatyckich wybrzeżach, a osobliwie opis przez kraje pół-europejskie, które żadnego nie wzbudzają zajęcia.

Minąwszy Suczawę, podróż przez Rumunię i inne z łaski sąsiadów utworzone nowe państwa zająć może tylko niewidzianym nieładem na kolejach, gburostwem konduktorów i podobnemi innemi przyjemnościami, które tu podróżnego na każdym kroku spotykają. Najprzykrzejsze w istocie sprawiają wrażenie te nowe kraje, które dziś przedzielają rogi mahometańskiego półksiężyca od ostatnich piór skrzydeł orła austryacko-węgierskiego. Przejeżdżając przez te kraje, myśl mi przyszła, iż byłoby pożądanem może, ażeby półksiężyc nieco rozsunął swe rogi, a równocześnie orzeł austryjacko-węgierski roztworzył swe skrzydła. Pod osłoną taką, kraje te wyglądałyby lepiej, niż wyglądają dzisiaj, a podróżujący zyskałby na tem z pewnością. Wiatr ożywiający, który powołał do życia te nowe kraje, wionął widocznie aż od Sybiru. To też przejeżdżając przez Rumunię, Bułgaryę, zastaliśmy tam istny syberyjski klimat. Wiosna, która pierwszymi swoimi powiewami powitała nas we Lwowie, gdzie w Lutym już śniegu wcale nie było, pożegnała nas w Rumunii. Tu zima w całej pełni. Przebyliśmy więc koleją ten nowy rumuńsko-bulgarski Sybir, a to koleją rumuńską!.... Tu kolej jest wynalazkiem przeznaczonym chyba tylko do przewożenia w razie potrzeby wojsk sąsiada, dokąd się takowym ruszać podoba, ale w żadnym razie nie jest wynalazkiem służącym ku wygodzie podróżnych. Zmieniające się co chwila linie kolei, niepewne godziny odjazdu, i tym podobne przyjemności, o których urzęda nigdy podróżnego dokładnie uwiadomić nie mogą czy niechcą, oto są niespodzianki na które zawsze przygotowanym być trzeba. Słowem podróżny jest tu podobnym do owego wilka na stepach ukraińskich, którego gonią na rozstawnych koniach. Konduktorowie rozmaitych linii kolei tutejszych umieją wzajemnie podawać go sobie w sposób umiejętny, każdemu z nich biedny podróżny zostawić musi cząstkę swej skóry, aż nareszcie zmęczony, znękany, z sił opada jak wilk zforsowany, jeśli dość sił nie miał, by umknąć za granicę. Tak jest znakomity porządek na kolejach tutejszych, że między stacyami Roman a Bukaresztem, już dwa kuferki nasze gdzieś zginęły. I za to kolejom tutejszym winniśmy wdzięczność, że zginęły tylko dwa, wszakże ze sobą mamy ich z piętnaście.

Rzućmy więc zasłonę na ten nowy sztucznie utworzony Sybir i przejdźmy szybko do chwili, w której grono nasze myśliwskie przybyło wreszcie do Warny, by przejść jak najprędzej w krainę Padyszacha, w dziedzinę tak zwaną: „Chorego człowieka“. Noc tylko jedna dzieliła nas od dziedzin, w których światło półksiężyca miało na długo naszych podróżnych oświecać. Ten „Chory człowiek“ o którym wspomnieliśmy przed chwilą, tak jest cierpiącym w istocie, że w jego wyzdrowienie nikt już dziś nie wierzy. Jestto uwiąd schyłkowy u starca. Siły uchodzą i dnie jego policzone. A jednak ten konający, chory człowiek współczucie wzbudzić musi, bo jest przeżyty i już nieużyteczny, ale poczciwy. Lepszy może od owych lekarzy, którzy otaczają jego łoże udając, że mu chcą nieść pomoc, i zadają różne leki, oczekując niecierpliwie chwili, w której spuścizną po chorym człowieku będą się mogli podzielić.

Warna, to cel ostatni naszej kolejowej podróży. Tu już na długo dla naszego ucha umilknąć będzie musiał świst lokomotywy. Odtąd oddać się musimy w moc Neptuna, którego rozległe państwo dzieli nas od upragnionych Syryjskich brzegów. W Warnie zastaliśmy austryjacki statek Lloyda: „Niobe“. Późno wieczorem przybyliśmy na pokład, a Czarne morze zwykle burzliwe i niespokojne, jakby przez wyłączną uprzejmość dla nas, miało powierzchnię spokojną i równą, podobną do rozlanej oliwy. Pomimo tego zbyt wesoła Niobe na tej spokojnej powierzchni zaraz hasać poczęła w sposób nieznośny. Istna Niemka, zawsze gotowa do tańcu, choć nie gra muzyka. Dwóch naszych towarzyszy zaraz padło ofiarą tej wesołości, przechodząc w stan wcale nie wesoły dla podróżnych, którzy są drażliwi na morską kołysankę. O świcie wszyscy zdrowi i chorzy byliśmy na nogach. Przy pierwszym dziennym brzasku, wszyscy uzbrojeni w binokle, perspektywy, staliśmy na pokładzie, niechcąc uronić najmniejszej cząstki widoku, któregośmy oczekiwali — widoku Bosforu. Niecierpliwość wszyskich opanowała, gdyśmy się ujrzeli otoczeni mgłą gęstą, co zresztą w tej porze roku na Czarnem morzu jest rzeczą codzienną, a raczej conocną. Owa mgła była dla nas fatalną tylko z powodu, iż nam widok wybrzeży zasłaniała, inaczej stała się fatalną dnia tego dla poprzedzającego nas rossyjskiego statku, płynącego z Odessy, który zatonął na wodach Warny. Niecierpliwość naszą mniej przykrą czyniły wrażenia inne, które zawsze przemawiają do myśliwskiej duszy. Odzywały się wszędzie dokoła znane tak dobrze, a zawsze lube dla ucha strzelca, głosy ciągnącego ptactwa: gęsi, żurawi i kormoranów. Na falach, tuż koło statku, koziołkowały figlarnie delfiny, i wszystko poczęło się rozweselać w około. Nad głowami naszemi przeleciał ptaszek. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy w nim poznali gołębia grzywacza, tak zwykle u nas ostrożnego ptaka, który zmęczony podróżą i walką z mgłą i z wiatrem, widocznie zaufał gościnności naszej, i usiadł na maszcie tuż nad głowami naszemi. Mimo hałasu na pokładzie biedna ptaszyna ze spuszczonemi skrzydłami przesiedziała parę godzin na maszcie, i dopiero ujrzawszy w pobliżu Azyatyckie wybrzeże zielone klasnęła w skrzydła, i w dal uleciała.

Gołąbku biedny! witaj mi w podróży!
Dążysz w rodzinne me strony,
Twe skrzydła morskiej znieść niemogą burzy,
Nie wzlecisz w nasze zagony.

Czekaj! — Na falach się statek kołysze,
Na maszcie usiądź ptaszyno!
Tu wypoczynek tu znajdziesz i ciszę
Aż wichry, burze, przeminą.

Leć na Wschód!... Po co?... Po co? Lecz któż pyta,
Jeżeli boleść za serce chwyta?

Leć na Wschód z nami! Tam rośnie ziele,
Co wszystkie rany uleczyć zdoła,
Może to serce, w którem ran wiele
Także wyleczy..... Szukajmy zioła!

Leć z nami ptaku! Lepiej na morzu!
Za lądem porzuć twe żale,
Fale mniej straszne na mórz przestworzu,
Niż życia burz mętne fale.

Patrz! mnie nie trwożą morskie podróże,
Ni myśl, że statek zatonie,
Lepsze to, niźli światowe burze,
Lepiej gdzieś spocząć w mórz łonie.

Usłuchał proźby ptak srebrnopióry,
Na maszcie usiadł nad nami,
I nad głowami naszemi z góry,
Wdzięcznie trzepotał skrzydłami.

Tak przebył Bosfor. Brzegi zielone
Skoro obaczył gdzieś w dali,
Klasnął skrzydłami... w daleką stronę
Pomknął... nad grzbietem znikł fali.

Tak dusza biedna w życiu podróży
Nieraz gdzieś czepia się nawy,
Lada maszt dla niej zbawienie wróży,
I płynie w dal — bez obawy.

Ten siwy gołąb — to obraz duszy.....
W leki na Wschodzie gdzieś wierzy.
Wierzy, że nawa życia wyruszy
W dal... do zielonych wybrzeży.

Bosfor był wreszcie przed nami. Cóż za szkoda, że Stambuł okazał się w obec nas tak zazdrośnym o wdzięki swej cudnej oblubienicy, Bosforu, jak mąż muzułmanin o wdzięki swych małżonek, którym zasłoną okrywa oblicze. Ta mglista zasłona na Bosforze w istocie równie była nieznośną, jak później w Stambule muszlinowe zasłony na twarzach pięknych Turczynek. Na szczęście nasze Bosfor uczynił tak, jak to czynią owe Panie na widok Europejczyka, nieznacznie uchylają zasłonę. Bosfor także z czoła swego odgarnął mglistą powłokę i ujrzeliśmy wdzięki, o jakich we śnie zaledwo wolno nam było zamarzyć. Zatoka Neapolitańska i Rio Janeiro są to jedyne dwie miejscowości na świecie, którym wedle zdania turystów wolno z Bosforem współzawodniczyć. Nieznam tamtych dwóch cudów świata, ale jest to dla nich niezawodnym zaszczytem, jeśli im do takiego współzawodnictwa przyznano prawo. Niewiem czy pióro jakiegokolwiek poety mogło być na tyle szalono-śmiałe, by chcieć te piękności opisywać. Niewiem czy pędzel jakiegokolwiek artysty mógłby być na tyle bezczelno-zarozumiałym, by chcieć to wszystko martwemi farbami na zimnem płótnie odwzorować. Neapolitańską zatokę opiewa zakochany i rozmarzony Włoch w gondoli przy gitarze:

„O! dolce Napoli! — o! sol beato...“

Bosforu nikt w ten sposób opiewać nie potrafił. Dla czego? Tego niewiem. Może dla tego, że tu nad falami ulatują duchy jakieś, które pieśń miłośna sama niezdoła objąć i uchwycić w swe pęta... i należytej nie nada im barwy. To świat cały, nad którym wieje jakiś wiatr inny, w obec którego nawet pieśń miłośna w jakiś dyssonans przechodzi. Poematu ani malowidła dokładnego Bosforu dotąd nikt nie wynalazł i nikt nie odtworzył. Kto chce zbadać przyczynę tej tajemnicy, niech tam jedzie, a przekona się naocznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*

# PIEŚŃ ZIMOWA LITEWSKA.

Świszcze wiatr grudniowy
I hukają sowy,
A chmur czarne przelatują stada,
Jaka śniegów mroźna zamieć pada!
Brońmy się od lodu!
Hej! dwa dzbany miodu!
Wiosnę zimie na przekor rozpalmy!

*Chór:* Hej dalej w górę
Puhary wznieść,
Kto miód nam wymyślił,
Na wieki mu cześć!

Ha! jak sosen ciemię
Wicher gnie na ziemię!
Wyją wilki głodne w boru, w polach,
Skrzypią dusze w strasznej kaźni bolach *)
Dalej bracia dziką
Zgłuszmy je muzyką,
Zgłuszmy sowy, grzeszniki i wilki.

*Chór:* Pieśń o upiorze
A chórem wznieść!
Niech żyje nasz Adam
Na wieki mu cześć!

Znoście ból, katusze
Czarne zbrodniów dusze!
Nie wyżebrze modłów wasza skarga.
Wieczny wicher niech szamota, targa
Waszej duszy klatki,
Za pobite dziatki
I za sierot wylane łzy gorzkie!

*Chór:* Hej bracia Bogu
Hymn święty wznieść!
On spycha złych w piekło,
Na wieki Mu cześć!

Świerki do ogniska,
Niechaj skrami tryska,
Jak świerkowy bór naszego Niemna!
Dusza nasza tęskna, mroczna, ciemna;
Lecz gdy ogniem spłonie,
W jasnem świeci łonie,
Jak świerk grzeje i skrami wytryska.

*Chór:* Hej bracia w górę
Puhary wznieść!
Niech rosną nam świerki,
Na wieki im cześć!

Ustał wiatr na borze,
Zajaśniały zorze,
Korzystajmy z czasu i ponowy,
Konie kiełzać, dalej w bór na łowy!
Lotki do kniejówki,
Pieniek do gwintówki,
Dalej wiara na wilka, na wilka!

*Chór:* Na szczęsny połów
Puhary wznieść;
Kto proch dał i ołów,
Na wieki mu cześć!

*Karol Brzozowski.*

*) Lud litewski wierzy, że dusze zbrodniarzy i zbójców wszczepione są za karę między dwa ocierające się drzewa. Skrzyp drzew to jęk dusz potępionych.

# SZCZEGÓLNE WYPADKI Z ROGACZAMI

PRZEZ

**Kazimierza hr. Wodzickiego.**

(Dokończenie).

## III.

Wśród pierwiosnków, kwiatu wilczego łyka, pękających pączków brzóz i obfitych kit palmowych naszych iw, wśród gąszczów przepełnionych spiewakami, wśród raju wiosennego opromienionego słońcem, pasło dwoje pastuszków kilka sztuk znędzniałego po zimowli bydła. Niestety w tym samym lesie sarna odbywszy szczęśliwie połóg, powiła nadobnego rogaczyka, i uradowana pierworodnym synkiem dumnie z sobą wodziła, ucząc go chodzić po gąszczach. Rogaczyk widocznie bogato uposażony, czego w późniejszem swem życiu mnogie złożył dowody, śmiało dreptał za matką, a uderzając ją w brzuch, upominał się nieustannie o pokarm. Mijały dnie i tygodnie, rodzicielka uszczęśliwioną była synkiem, on serdecznie miłował matkę, więc rozkosznem było ich życie. — Atoli argusowe oko chłopskie wszystkiego w przyrodzie dopatrzy, co nawet pod ziemią się znajduje, wybierze dla swego pożytku, a nawet bez tegoż, byle szkodę wyrządzić. Owóż pastuszek codziennie patrząc na sarnę i koźlątko, postanowił je złowić. Ułożywszy plan, powierzył go towarzyszce, i wspólnie wykonali zbrodnię, której szczegóły nam detalicznie opowiadano. Gdy słońce mocno dogrzewać poczyna, wówczas sarny zwykle układają się w gąszczach, i sen ich wtedy bywa najtwardszym. Młody zoolog i łowiec wraz z towarzyszką podkradają się ku upatrzonej sarnie, ale w chwili, gdy ją mieli zchwycić, ona przeskoczyła przez nich, i życie swe ocaliła, malec wszakże dostał się w ręce rabusiów. —

Chłopak obwinął go starannie płachtą (weretą), wziął pod pachę, i powierzywszy straż nad bydłem dziewczynie, pospieszył drogą do chaty. Niestety wszedł mu w drogę leśniczy i pyta, co za ciężar dźwiga, szkodnik się rumieni, wreszcie poczyna płakać, i oddaje kwilącego rogaczyka. Przerażenie i łkanie nie dozwalają mu mówić, więc dozorca lasów nie może się dowiedzieć o miejscu popełnionej zbrodni, poturbowawszy przeto trochę niedorosłego szkodnika, napędza go do wsi, sam zaś niesie zdobycz na leśny folwark zdala od wsi i ludzi. Zbiegli się wszyscy domownicy, a czternastoletnia córka ekonoma, rozrzewniona widokiem sieroty, ofiaruje opiekę i poświęcenie się jej wychowaniu. — Rogaczyk piszczy i kwili, trwożliwie spogląda na wszystkie strony, i rozkraczony nie rusza się z miejsca. Było to w południe, właśnie szła dziewka od podoju ze skopcem ciepłego, świeżo wydojonego mleka, podstawiono naczynie koziołkowi, i zmaczano mu mordeczkę mlekiem, on chlipnął raz, potem kilka razy, wreszcie podążył za skopcem do mieszkania. — Owóż początek życia w niewoli Maćka, który później miał się stać na wzór Rinaldiniego lub Kartusza postrachem okolicy, i zwany był pobereżnikiem, bo w porze zbierania grzybów i jagód troskliwiej strzegł lasu, jak każdy z gajowych. Co się tam w jego sercu działo, o ile bolał i tużył, tego odgadnąć nie umiemy, jakoteż czy myślą i pamięcią sięgał ku swej matce, czy nie knuł zamiarów porzucenia niewoli i ucieczki do lasu, otaczającego folwark? To pewne, iż na pozór pogodził się z swym losem, jakoż z początku pijał trzy razy na dzień mleko i drzemał na poduszce lub kanapie później chodził zawsze za swoją panią do ogrodu, i skubał listki jarzyn i trawki. Ekonomowa, zabiegliwa gospodyni i ogrodniczka, poświęcała wraz z córką wszystkie wolniejsze chwile uprawie jarzyn, a wtedy istotnie pociesznego widoku dostarczał rogaczyk, gdy się z uwagą przypatrywał robocie, i chodząc od grządki do grządki z posłuszeństwem i pokorą przyjmował napomnienia. Nadeszła jesień, rożki poczęły mu się wykluwać, swędzenie dokuczało mu, więc wycierał głowę o chrust płotów i z rozkoszą dawał się drapać po głowie. Rożki wyrosły wreszcie, ale charakter i zwyczaje nie zmieniły się. Łagodny, pamiętny, znający wszystkich domowników, garnął się chętnie do nich, ale mimo oswojenia unikał nieznajomych. Zimna, śniegów i mrozów nie znosił, i hałaśliwie upominał się o schronienie pod dachem. Gdy polska, długa zima już w końcu przestała prześladować znękanych i zziębniętych mieszkańców, a zieloność ubarwiła drzewa i krzewy, wychodził Maciek do bliskiego miotu, i tam się żywił, spał, lecz kilka razy na dzień powracał do domu, i tłukł racicami w drzwi prosząc o wpuszczenie do mieszkania. Całe lato tak spędzał, a w czasie polowania nie brano nigdy Maćkowego miotu. W późnej jesieni, przy pierwszej zawierusze pojawiał się na folwarku, i już stale zimował pod dachem, wcale nie odwidzając lasu. W normalnej porze zrzucał rogi, otrzymywał świeże z odnogami, lecz jeszcze nikogo nie napastował. Gdy w następnym Maju otarł mech z rogów, już dawały się słyszeć skargi na niego, bo się Maciek widocznie poczynał emancypować chodząc do wszystkich miotów, docierając nawet do sąsiedzkich granic. Już w drugim roku życia popełniał dobrze obmyślane i wykonane zbrodnie. W czasie dojrzewania grzybów i jagód niepodobna opędzić się od bab i dziewek, łakomych tego zakazanego owocu, a tak ponętnego. Maciek był ich wrogiem i zapamiętale je prześladował. Jednej wysadził oko odnogą rogu, drugą przypadkiem znalazł żyd zemdloną, inne pokaleczone, z podartą bielizną przybiegały z lamentem na folwark, i odbierały na uspokojenie jedynie słowa: „Nie chodźcie do lasu, kiedy nie wolno“. Pewnego razu posłyszał leśniczy na zrębie lament i krzyk, biegnie i spostrzega dziewkę leżącą na ziemi, a rogacza tłukącego ją, to znowu odskakującego, aby na nowo atakować i kłuć dotkliwie. Zawołał na niego głosem surowym: „Maćku!“ Rogacz znał go doskonale w domu, i na ten głos przybiegał do niego, więc stanął wprawdzie nasłuchując, lecz się nie przybliżył, leśniczy zaś, człowiek krzepki i silny, skoczył ku niemu, chwycił za rogi i usiłował go przytrzymać. Tem rozwścieklony Maciek pasuje się z nim, przecina mu rogiem rękę tak głęboko na dłoni, że przez kilka tygodni musiał ją nosić na chustce, wreszcie wyrwawszy się uchodzi w gąszcz.

W tym samym roku jadąc przez las, przypomniałem sobie, że od kilku lat nie widziałem szkółki szpilkowego drzewa, poszedłem więc z laską w ręku szukać tego dosyć ukrytego miejsca. Zaledwo postąpiłem kilkadziesiąt kroków, doszły mnie dwa kobiece, lamentujące głosy. Przeczuwałem, że to znowu będzie sprawka sarniego rozbójnika, jakoż istotnie tak było. W rzadkiej kijastej brzezinie leżała mołodyca krzycząc w niebogłosy, że jest przebitą, druga zaś uciekała co tchu zawodząc jak pies, którego kijem obito, a w dali stał rogacz z wlepionym we mnie wzrokiem. Nie dotrzymał jednak placu, i wolnym krokiem uszedł. Nader przykra moja sytuacya, mołodyca woła, że z tyłu przebita, niepodobna mi było naocznie się o tem przekonywać, więc proszę, straszę, dźwigam, i ledwie ją stawiam na nogi patrząc na spódnicę krwią zbroczoną. Doprowadziłem wreszcie do karczmy, upomniałem strasząc czworonożnymi gajowymi, i sądzę, że już na jagody do mego lasu chodzić nie będzie. Rozbój stał się zwyczajem Maćka, później nawet chłopów rozbijał, a siekiera nigdy go nie dosięgła. Pewnego razu nie pamiętam czy to podczas lustracyi lasu, czy też na polowaniu, opowiadano mi o innej zbrodni, popełnionej przez tego rogacza. Myślał on widocznie, układał plany, krył się w zasadzkach, a czasem pędem gonił za dziewkami po lesie i rogami przewracał, tratując niekiedy racicami. Jako szczególniej zajmującą rzecz muszę zanotować, że w czasie takich rozbojów przybiegał często na folwark, pieścił się i bawił, przyjmował pokarm, poczem szedł do lasu wykonywać zbrodnicze czyny. Znał dobrze niebezpieczeństwo polowania, wtedy usuwał się przed strzałami do miotów oddalonych, lub też chronił się pod opiekę swej pani. Rozbijał z równą zawziętością do pierwszego śniegu, i zdawało się, że pozostanie już w lesie, inaczej się stało, powrócił pod zimę gruby i duży jak cielę, i prosił o przezimowanie, co też dozwolono z warunkiem nierozbijania, jakoż istotnie nikomu nic złego nie uczynił, żył w zgodzie z ludźmi i psami do wiosny, ale z pierwszą zielonością, istny rycerz średniowieczny żyjący rozbojem, wyruszył do lasu, i znowu rozpoczynał swój zawód zbrodniczy, odwidzając wszakże niemal codzień folwark i swoją panią. Owo niebezpieczeństwo zagrażające ludziom, żonie i dzieciom moim, chodzącym po lesie, zniewoliło mnie do postanowienia zastrzelenia tego rozbójnika. Instynkt zachowawczy nieocenionym jest skarbem dla ludzi i zwierząt. Maciek nie bał się mnie, nie przychodził wprawdzie do ręki, ale wcale odemnie na folwarku nie stronił. — Raz spotkałem się z nim w miocie, szedł na mnie gąszczem, poznałem go i wydałem nań wyrok śmierci, ale przeczuł on grożące mu niebezpieczeństwo, odwrócił się i uszedł. Gdym to opowiedział leśniczemu, prosił o pozwolenie zabicia go, zgodziłem się z wa-

runkiem, by to się stało w lesie, a nie na folwarku, gdzie zabicie jego byłoby zbrodnią. Któż uwierzy, że od tego dnia w ciągu całego lata nie spotkał się z nim leśniczy w lesie, toż zachował rogacz życie swe aż do późnej jesieni. Zawiązał on widocznie ścisłe stosunki z sarnami, i był niemi zajęty zapominając o swych opiekunach i o uczuciu wdzięczności, już bowiem śnieg swym zimowym całunem okrył przyrodę, a rogacz jeszcze chodził po lesie nie mogąc się oderwać od towarzystwa kształtnych swych i powabnych współrodaczek. Muszę jednak dodać na jego usprawiedliwienie, iż czasem przychodził na folwark, przyjmował podany pokarm, nikomu nic złego nie uczynił, i znowu uchodził do lasu. Wreszcie szron pokrył krzaki, ciężarem swym przygniatał drzewa, naginał młodsze, łamał strzały szpilkowych, w całej okazałości promienił się brylantami, a Maciek jeszcze nie opuszczał lasu, dzieląc twarde losy życia zimowego polskich sarn. Stężały śnieg nawoływał gospodarzy do pracy około zwożenia drzewa, więc wyprawiłem moich fornali po sągi do lasu. Któż z ludzi począwszy od purpury, a kończąc na sukmanie, nie doznał w życiu potrzeby schronienia się do krzaków i tajemniczych gąszczów? Taka to potrzeba powiodła jednego z moich parobków do starego zrębu, a nie miał powodu lękać się, gdyż od kilku miesięcy nie słyszano już o rozbojach Maćka. W chwili kiedy już swobodnie przysiadał, nagle rogacz w szalonym pędzie uderzył na niego, i wbił głęboko swe rogi. Parobek naturalnie wywrócił straszliwego kozła, i począł lamentować i przyzywać pomocy. Przybiegli towarzysze z drągami, Maciek zaś nieustraszony stanął do walki, i ani kroku nie ustąpił patrząc groźnie na ludzi. Jeden z śmielszych parobków zakradł się z tyłu, uderzył drągiem i przełamał mu krzyże, inni rzucili się nań i dobili walecznego Maćka, poczem zakopali go w śnieg, a w nocy wynieśli i zjedli.

Jeden jeszcze przytoczę ciekawy epizod z życia Maćka. Podobno rzeźnik z pobliskiego miasteczka dostarczał ekonomowi i leśniczemu złego i drogiego mięsa, twardym był w kredytowaniu, i z tego powodu chciano wywrzeć na nim zamstę. Przed żydowskiemi świętami pojawia się ów rzeźnik z rachunkiem, a leśniczy ukazuje mu tłustego rogacza, stojącego w ogrodzie mówiąc: „oto byłby smaczny kąsek dla rabina, bo on koszer". Żyd uśmiechnął się zadowolony i rzecze: „Ja go muszę obmacać, czy on feist, jeżeli tłusty, dam ośm guldenów". Zapewniony, iż rogacz łaskawy i na zawołanie przychodzi do ręki, podkrada się żyd ostrożnie w celu obmacania czombra. Maciek wodzi go okiem nie ruszając się z miejsca, ale gdy rzeźnik dotknął go ręką, odskoczył, uderzył nań i przewrócił żyda bodząc go kilkakrotnie. Mniejsza o hałat potargany, ale dobrał się i do ciała żydowskiego, i byłby go niezawodnie na śmierć zakłuł rozwścieklony, gdyby rychła pomoc nie przybyła. Słysząc to opowiadanie pomyślałem, że ów żyd pewnie drugi raz w życiu swojem żywego rogacza kupować nie będzie.

Takieto z życia wyjęte rysy dają wyobrażenie o życiu i obyczajach tych zwierząt, oraz wskazówkę, aby nie chować rogaczów i sarn, pierwsze bowiem rozbojem narażają na wiele przykrości, kosztów i cierpień, drugie zaś jeżeli w porze rui nie umkną do lasu, giną marnie i bezpożytecznie dla nas. Trudno wprawdzie zchwytane lub znalezione sarniątko matce zwrócić, wreszcie przybiega ono zakosztowawszy domowego mleka zwykle z lasu do domu, gdy jednak można dowiedzieć się o miejscu porwania, to kwilenie dziecka przyzwie matkę, albo gdy po odkarmieniu wywodzi się sarnię często do lasu w różne mioty, w których sarny przebywają, to ono wnet znajdzie swoją ojczyznę i przylgnie do niej.

# Zarybianie wód Galicyi w roku 1881.

PRZEZ

**Dra M. Nowickiego.**

W dalszym ciągu zarybiania wód Galicyi, rozpuszczono w nich i tego roku na wiosnę 306.700 narybku, mianowicie 1200 węgorząt, a resztę ryb łososiowych, a pozostałe jeszcze 14.000 ikry lipienia, z której narybek przeznaczony jest dla wód górskich.

Towarzystwo rybackie miało do wychowu 288.500 ikry ryb łososiowych. Z tego otrzymało w darze: *a)* od Niemieckiego Towarzystwa rybackiego w Berlinie dla dorzecza Wisły 155.000 ikry, w szczególności 135.000 łososia bałtyckiego (Salmo salar) i 10.000 kalifornijskiego (Salmo quinnat), 5000 troci (Salmo trutta), 5000 sieji (Coregonus maraena) i 500 pstrąga amerykańskiego (Salmo fontinalis), zaś *b)* od hr. Artura Potockiego z jego pstrągarni w Dubiu 45.000 pstrąga (Salmo fario); a kupiło: *c)* Towarzystwo centralne w Krakowie 2500 pstrąga amerykańskiego za uprzejmem pośrednictwem p. v. Behr, 30.000 pstrąga naszego z Salzburga i 4000 lipienia z Zipf; *d)* Oddział Towarz. rybackiego w Tarnowie 2500 ikry lipienia z Zipf, a 15.000 od rybaka Doruli w Poroninie, i 6000 pstrąga z Salzburga, Oddział w Nowym Sączu 10.000 pstrąga z Lienz od Glanzla, Oddział w Suchy 500, w Jarosławiu 14000, w Bolechowie 7000, w Kołomyi 1500 ikry lipienia od Doruli, wreszcie Towarzystwo Tatrzańskie 2000 ikry gatunku Salmo lacustris, i 2000 Salmo salvelinus.

Z tej ikry przyjęły na wychów: 1) Arcyksiążęcy zakład rybny we Wiśle na Szlązku, którym zarządza leśniczy p. Karbasch, 50.000 łososia bałtyckiego i 10.000 kalifornijskiego, 5000 troci, 3000 pstrąga amerykańskiego; 2) Arcyksiążęcy zakład rybny w Kamesznicy w skarbie Żywieckim, pod zarządem leśniczego p. Kleibera, 15.000 łososia i 3000 pstrąga; 3) Oddział Tow. ryb. w Suchy, korzystający z tamtejszego zakładu rybnego hr. Branickiego, 15.000 łososia, 16.800 pstrąga i 1500 lipienia, których wychowem zajął się p. Kopetschny; 4) Pstrągarnia w Dubiu hr. Artura Potockiego, pod zarządem p. St. Kluczyckiego, 11.000 łososia; 5) Szkoła rolnicza w Czernichowie 2000 lipienia, dla praktycznego obznajomienia uczniów z wychowem narybku; 6) Pan Wilhelm Habicht, do zakładu rybnego w Krzyżu księcia Eustach. Sanguszki, 15.000 łososi, 31.000 pstrągów i 17500 lipienia, dla Oddziału w Tarnowie; wychowem zajmuje się gorliwie i z świetnem powodzeniem panna Henryka Habicht, wyręczając swego ojca zbyt zatrudnio-

nego; 7) hr. Marassé, do swych wylęgarni w Marcinkowicach, 10.000 łososi i 12.000 pstrągów, dla Oddziału w Nowym Sączu, wychowem zajmuje się p. Edw. Kamiński; 8) Rybak Dorula w Poroninie do swej wylęgarni 4000 łososi; prócz tego wychował tam wiele tysięcy ikry lipienia, którą rozebrały Oddziały, a Towarzystwo centralne narybek; 9) Oddział w Jaśle 1000 łososi i 1000 pstrągów, na swe wylęgarnie umieszczone w browarze w Brzostku; 10) Pani baronowa Wattmann, przewodnicząca Oddziału Tow. ryb. w Jarosławiu, do swego zakładu rybnego w Rudzie różanieckiej pod Cieszanowem 9000 łososi; 11) Oddział w Jarosławiu 1000 pstrągów i 4000 lipieni, na wylęgarnie umieszczone w Zarzeczu i Nowej Grobli; 12) Szkoła rolnicza w Dublanach 1000 pstrągów i 2000 lipieni, dla praktycznego obznajomienia uczniów z wychowem narybku, którym się zajął profesor Dr. Kruszyński; narybek był przeznaczony dla Oddziału Tow. ryb. w Stryju, nie mającego jeszcze swej wylęgarni; 13) Oddział w Stanisławowie 2000 pstrąga, na swe wylęgarnie, ustawione w młynie na Belwederze; 14) Oddział w Bolechowie 5000 łososi, 6000 pstrągów i 7000 lipieni, na swe wylęgarnie w Mizuniu; 15) Oddział w Kołomyi 2000 pstrągów i 1500 lipieni; 16) c. k. nadleśniczy p. Karol Obst do swego zakładu rybnego w Dorze 15.200 pstrągów; wreszcie 17) Towarzystwo tatrzańskie 5000 sieji, 2000 Salmo lacustris i 2000 Salmo salvelinus, na swe wylęgarnie, umieszczone w młynie w Kuźnicach w Zakopanem; ikrę sieji przewiózł z Krakowa profesor L. Świerz, zaś tamtę kursor Tow. ryb. Jakób Szczerbowski; wychowem ikry zajęli się pp. Wiktor Finger adjunkt leśnictwa i Selecki nauczyciel szkoły snycerskiej w Zakopanem, tudzież strażnicy Jędrzej Wala i Maciej Sieczka.

Wychów powiódł się w ogólności pomyślnie, bo z 288.500 ikry otrzymano 225.700 narybku, zaś zmarniało 48.800 ikry i rybek, a lęgnie się jeszcze 14.000 ikry lipienia. Szczegółowy wypadek wychowu był następujący:

*a)* Według miejsc wychowu:

| | Ilość ikry | Ilość narybku wychowanego | Ubytek w ikrze i narybku | Ikra lipienia jeszcze nie wychowana. |
|---|---|---|---|---|
| 1. Wisła . . . . | 68.000 | 56.400 | 11.600 | — |
| 2. Kamesznica . | 18.000 | 17.575 | 425 | — |
| 3. Sucha . . . | 33.000 | 29.654 | 2.146 | 1.500 |
| 4. Dubie . . . . | 11.000 | 10.740 | 260 | — |
| 5. Czernichów . | 2.000 | 1.800 | 200 | — |
| 6. Krzyż . . . . | 63.500 | 57.700 | 5.800 | — |
| 7. Marcinkowice | 22 000 | 18.687 | 3.313 | — |
| 8. Poronin . . . | 4.000 | 3.757 | 243 | — |
| 9. Jasło . . . . | 2.000 | — | 2.000 | — |
| 10. Ruda . . . . | 9.000 | 8 800 | 200 | — |
| 11. Jarosław . . . | 5.000 | — | 1.000 | 4 000 |
| 12. Dublany . . . | 3.000 | 50 | 2.950 | — |
| 13. Stanisławów . | 2.000 | 400 | 1.600 | — |
| 14. Bolechów . . | 18.000 | 6.000 | 5.000 | 7.000 |
| 15. Kołomyja . . | 3.500 | — | 2.000 | 1.500 |
| 16. Dora . . . . | 15.200 | 10.637 | 4.563 | — |
| 17. Zakopane . . | 9.000 | 3.500 | 5.500 | — |
| razem . | 288.500 | 225.700 | 48.800 | 14.000 |

*b)* według gatunków ryb:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| 1. Łosoś bałtycki | 135.000 | 126.810 | 8.190 | — |
| 2. Łosoś kaliforn. | 10.000 | 4.200 | 5.800 | — |
| 3. Pstrąg . . . | 91.000 | 69.960 | 21.040 | — |
| 4. Pstrąg ameryk. | 3.000 | 1.930 | 1.070 | — |
| 5. Troć . . . . | 5.000 | 3.350 | 1.650 | — |
| 6. Sieja . . . . | 5.000 | — | 5.000 | — |
| 7. Salmo lacustris | 2.000 | 1 850 | 150 | — |
| 8. Salmo salvelinus | 2.000 | 1.650 | 350 | — |
| 9. Lipień . . . | 35.500 | 15.950 | 5.550 | 14.000 |
| razem . | 288.500 | 225.700 | 48.800 | 14.000 |

Straty w ikrze i narybku, pochodziły z transportu i innych przyczyn. Tak zginęło w drodze z Niemiec do Wisły na Szlązku przez Kraków do 10.000 ikry łososiej głównie kalifornijskiej z Dubia do Suchy, Krzyża i Dory około 5000 ikry pstrągowej, z Salzburga do Marcinkowic 2000 pstrągowej w skutek nastałego ciepła, z tejże przyczyny kilka tysięcy ikry lipienia do Krzyża i Bolechowa. W Brzostku skradziono 600 łososiąt i 900 pstrążąt wylęgłych z 2000 ikry. W Nowej-Grobli wylęgło się z 1000 ikry do 900 pstrążąt, które widział c. k. Starosta p. Beneszek, ale zmarniały one później, jak to doniósł p. Kościński. W Dublanach wychował prof. Dr. Kruszyński z 2000 ikry mnogi narybek lipienia, ale gdy na prośbę Towarzystwa rybackiego posłał Oddziałowi w Stryju, ginęły rybki w drodze, tak, że ostatecznie pozostało tylko 50 żywych, które Oddział rozpuścił, jak to doniósł profesor p. Huppenthal. W Stanisławowie jakiś nicpoń wstrzymał dopływ wody i przedziurawił nadto wylęgarnię, aby z niej woda spłynęła, a to przyprawiło o śmierć wiele pstrążąt, które Oddział wychował z 2000 ikry i tylko 400 z nich uratowano jak doniósł p. Beill. W Bolechowie ginęły licznie wylęgłe pstrążęta, tak, że z 6000 ikry tylko 2600 pstrążąt pozostało; mnoga ikra łososia ucierpiała podczas transportu, toż ikra lipienia. W Dublanach, Kołomyi i Dorze zamarzło po 2000, razem więc 6000 ikry pstrąga. W Zakopanem chowała się ikra sieji zrazu dobrze, później jednak uległa pleśnieniu, a co się mimo to rybek wylęgło, to także wszystkie niebawem zginęły. Zresztą straty w ikrze i narybku były nieznaczne, bo tylko od 200 do 500.

Narybku uzyskano ostatecznie 225.700; do niego jednak przybyło dalszych jeszcze 81.000, albowiem:

| | |
|---|---|
| *a)* Towarzystwo rybackie kupiło od Doruli narybku lipienia . . . . . . . . . . . . . . . . | 10.000 |
| zaś od p. Daimera w Berlinie węgorząt . . . . | 200 |
| *b)* hr. Artur Potocki darował Towarz. rybac. pstrążąt z Dubia . . . . . . . . . . . . . . . . | 10.000 |
| zaś baron Wattmann Oddziałowi Tow. ryb. w Jarosławiu bastarda z łosia i pstrąga . . . . . . | 1.000 |
| *c)* c. k. Dyrekcya domen i lasów w Bolechowie kupiła węgorząt . . . . . . . . . . . . . | 1.000 |
| *d)* pstrągarnia hr. Artura Potockiego w Dubiu rozpuściła własnych pstrążąt . . . . . . . . . . | 15.000 |
| *e)* arcyksiążęcy zakład rybny w Kamesznicy rozpuścił pstrążąt własnego chowu w potokach Soły . | 17.000 |
| a Zakład w Wiśle w źródłowiskach Wisły takichże pstrążąt . . . . . . . . . . . . . . . . | 20.000 |
| *f)* rybak Dorula zarybił Dunajec w Poroninie własnym narybkiem lipienia w ilości . . . . . . . . | 6.800 |
| Razem . . | 81.000 |

Wszystkiego więc narybku było 306.700.

Narybek ten rozpuszczono w odpowiednich wodach od Wisły i jej dopływów, aż po Prut, a mianowicie:

### *a)* Dorzecze Wisły.

1) Wisła. W śląskich źródłowiskach Wisły, aż po Skoczów: 46.920 łososia bałtyckiego i 4200 kalifornijskiego, 3350 troci, 20.000 pstrąga i 1930 pstrąga amerykańskiego, razem więc 76.400 narybku łososiowatego. Wychował i rozpuścił p. Karbasch z polecenia arcyksiążęcej dyrekcyi kameralnej w Cieszynie, która jako członek Tow. ryb. współdziała z niem ku podniesieniu rybactwa na Wiśle. Pstrąga amerykańskiego wpuszczono 930 do Wisły, zaś 1000 do bezrybnych stawów, aby go tu wychować w czystej krwi i mieć z niego potem własną

ikrę, jak w Hüningen. Aby łosoś mógł dochodzić na tarło, aż do źródłowisk Wisły, urządzają tu na jazie przejście (Fischsteg). Zwiedziłem zakład rybny we Wiśle, dnia 19 Kwietnia i widziałem wtedy mnogi narybek ślicznie chowający się.

2) Soła: 14.750 łososi do potoku Kamesznica i 19.825 pstrążąt do potoków Karolówka, Zimna woda, Sikorszany, Młynki, Malinówka, Twardorzeczka i Rastoka. Wychował i rozpuścił p. Kleiber; przyjął od Tow. ryb. 18.000 ikry z polecenia dyrekcyi dóbr arcyksiążęcych w Żywcu, która jest członkiem Towarz. ryb. Przy rozpuszczaniu dorodnych łososiąt dnia 18 Kwietnia byłem obecnym i poznałem przy tej sposobności zakład rybny w Kamesznicy.

3) Skawa: 14.521 łososi i 15.133 pstrągów do potoków Skawica i Stryszawka z Lachówką, rozpuścił Oddział Tow. ryb. w Suchy, a ma jeszcze 1500 ikry lipienia na wylęgarni.

4) Szklarka i Krzeszówka, dopływy Rudawy: 15 tysięcy pstrągów, z pstrągarni hr. Artura Potockiego; rozpuścił dnia 2 Kwietnia p. J. Walkowski.

5) Rudno, dopływ Wisły: 1800 lipieniąt; wychowała i rozpuściła d. 10 Maja szkoła rolnicza w Czernichowie, celem rozpoczęcia nauki o praktycznem gospodarstwie rybnem, której udzielania dla dobra kraju podjął się dyrektor tej szkoły pan Chwalibóg.

6) Raba: 2800 pstrążąt, przewiózł pan Habicht dnia 17 Kwietnia z Krzyża do Gdowa, gdzie je zgromadzona publiczność rozpuściła.

7) Dunajec z dopływami: 91.244 narybku łososiowatego. Mianowicie: *a)* Biała: 400 łososi, 12.100 lipieni pod Tuchowem ($^{29}/_{5}$), 25.000 pstrągów pod Tarnowem ($^{11}/_{4}$), Bobową ($^{13}/_{4}$) i Grybowem ($^{13}/_{4}$), razem 37.500 narybku, wszystek z Krzyża, zkąd go przewieźli pp. Habicht, Berke i Morawski, *b)* Dunajec od Zakopanego po Sącz: łososi 3557 w Poroninie ($^{10}/_{4}$), 8822 w Białowodzie ($^{10}/_{4}$), 500 w Wielopolu ($^{7}/_{4}$), 1400 pod Wielką wsią ($^{27}/_{4}$), 9600 pod Melsztynem ($^{27}/_{4}$), razem 24.079; pstrągów 9365 pod Dąbrową ($^{13}/_{3}$); lipieni 2500 w Zakopanem ($^{2}/_{6}$), 6800 w Poroninie ($^{4}/_{6}$), 3000 w Białym Dunajcu do potoku Bustryczańskiego ($^{6}/_{6}$), 4000 w Szaflarach ($^{12}/_{6}$), razem 16.800. Z tych 50.244 narybku wychowało się 11.000 łososi w Krzyżu, 9322 łososi i 9365 pstrągów w Marcinkowicach a 3757 łososi i 16.800 lipieni w Poroninie u Doruli; *c)* Jeziora Tatrzańskie: w Rybim 1850 Salmo lacustris, przenieśli z wielkim trudem z Zakopanego i rozpuścili dnia 23 Marca: pan Wiktor Finger z Maciejem Sieczką, zaś 1650 Salmo salvelinus w Gąsienicowym Stawie Jędrzej Wala. Sieja, którą v. Behr ofiarował dla jezior tatrzańskich, zniszczała prawie wszystka, bo tylko 5 rybek J. Wala wpuścił do Jaszczurówki. Na Białym Dunajcu pod Ustupem znajduje się wysoki jaz, którego łosoś i pstrąg przebyć nie mogą, chyba przypadkowo przy wielkiej wodzie.

8) Zabnica, dopływ Wisły: 1500 lipieniąt z Krzyża, rozpuścił p. Habicht.

9) Wisłoka i Ropa pod Jasłem: 2000 łososi, z Krzyża od p. Habichta, przewiózł ztąd Dr. B. Lutostański wozem dnia 30 Kwietnia do Jasła, dla tutejszego Oddziału Tow. ryb, któremu skradziono narybek łososia i pstrąga w Brzostku wychowany.

10) San z dopływami: 24.740 narybku łososiowatego, mianowicie: *a)* Tanew 3000, a jej dopływ Pancza 800 łososi, wylęgłych w Rudzie, rozpuścił baron Wattmann; *b)* Wisłok koło Rzeszowa: 1200 łososi z Krzyża od p. Habichta, przewiózł ztąd Dr. B. Lutostański dnia 1 Maja do Rzeszowa, gdzie je liczna publiczność rozpuściła; *c)* San pod Radymnem 2000 łososi i 500 bastardów, przesłał baron Wattmann z Rudy do Jarosławia dla Oddziału, a ztąd przewiózł c. k. Starosta p. Beneszek dnia 23 Kwietnia do Radymna, gdzie rozpuszczone zostały; pod Sanokiem: 3200 łososi i 2000 pstrągów, przewiozłem je dnia 2 Kwietnia koleją z Dubia do Sanoka dla Oddziału Tow. ryb.; pod Liskiem: 3000 łososi i 500 bastardów, przesłanych tam z Rudy od barona Wattmanna, za staraniem c. k. Starosty Beneszka. — Oddział w Jarosławiu ma jeszcze 4000 ikry lipienia na wylęgarni w Zarzeczu; *d)* Osława pod Zagórzem: 4540 łososi i 4000 pstrągów, przewiozłem je koleją dnia 2 Kwietnia z Dubia do Zagórza, a rozpuścił Oddział Sanocki wraz z publicznością.

11) Stawy: w Gomniskach pod Tarnowem 400, w Jassowie koło Czarnej 200 i w Dąbrowicy 300 pstrągów, zaś w Krzyżu 500 lipieni; wszystek narybek z Krzyża od pana Habichta.

(Dokończ. nastąpi).

# ŁOWY NA NIEDŹWIEDZIE W GALICYI

PRZEZ

**Dra Ferdynanda Krattera.**

(Dokończenie).

## III.

Polowanie Lisowickie przeszło po przeniesieniu ojca mego jako starosty do Lwowa w posiadanie leśniczego kameralnego, który przywiódł zwierzostan w skutek bezwzględnego wystrzeliwania do zupełnego upadku. Dopiero w roku 1851 wziął ówczesny generał komenderujący w Galicyi książę Edmund Schwarzenberg lasy rządowe Bolechowskie wraz z Lisowicami i Taniawą w dzierżawę, i podniósł w ciągu wielu lat przez staranną ochronę zwierzyny i uregulowane łowiectwo zwierzostan o tyle, że łowy Lisowickie należały do najznamienitszych w kraju. Tak książe Schwarzenberg, jakoteż późniejsi dzierżawcy tego polowania generał jazdy hr. Schlick i generałporucznik hr. Mensdorf urządzali w każdym roku podczas pory łowieckiej polowania trwające często kilka tygodni, a uprzejmość właścicieli polowania, swoboda, z wesołych, wytrawnych i doskonałych myśliwych składające się towarzystwo wraz z wzorowem prowadzeniem łowów i różnorodnością zwierzyny będą zawsze dla byłych uczestników ich najmilszem wspomnieniem. Niestety mogłem w każdym roku zaledwo kilka dni brać udział w tych doskonałych łowach, ponieważ z początku studya, później zawodowa praca nie dozwalały dłuższej

obecności. Tak tedy się stało, iż lubo znajdujące się u mnie protokoły łowów, w których rezultaty każdego dnia polowania z wszelkiemi przypadłościami po większej części w sposób humorystyczny są opisane, wykazują, że niedźwiedzie w Lisowicach bywały bite, to jednak żaden z nich podczas mojej obecności nie dostał się na rozkład.

W ogóle nie opuściłem w ciągu lat trzydziestu żadnej sposobności polowania na niedźwiedzie, jakoż brałem udział w wielu łowach, gdzie niedźwiedzie albo były otropione, lub na pewne wyczekiwane, a jednak nigdym się z nimi nie spotykał, nigdy też żaden z nich na owych polowaniach nie padł. Nie można się wszakże takiemu nieszczęściu dziwić, gdy się weźmie na uwagę, że niedźwiedź w ogólności w skutek trzebienia lasów i ulepszeń broni palnej z każdym rokiem coraz głębiej w góry uchodzi, i staje się coraz rzadszym. Łowy niedźwiedzie w górach Karpackich mogą tylko na pierwszej ponowie być uwieńczone pomyślnym rezultatem, wtedy bowiem może być niedźwiedź dobrze otropionym, a kto ma dosyć czasu i ochoty począwszy od 15 Października przez dwa lub trzy tygodnie pozostać w rewirach Karpackich, gdzie zwykle w lecie i jesieni niedźwiedzie przebywają, temu wolno cieszyć się uzasadnioną nadzieją strzelania do tej rzadkiej zwierzyny. Polowania z nagónką bez śniegu będą zawsze igraszką szczęścia, a w późnej jesieni spadają zwykle w górach takie masy śniegu, iż często już w początku Listopada urządzenie polowania staje się wprost niemożliwem. Do nadzwyczajnie szczęśliwych wypadków należy — które chyba do głównej wygranej na promessę można przyrównać — gdy myśliwy biorący udział w polowaniu na czarnej stopie spotka się z niedźwiedziem i strzeli doń. Dwakroć doznałem takiego szczęścia w krótkim, bo półtorarocznym przeciągu czasu. W jesieni r. 1878 otrzymałem telegrafem wezwanie od radcy lasowego pana Tschuppiga, iżbym przybył w celu narady prawnej do Sołotwiny, posiadłości leśnej, położonej w Karpatach, a należącej podówczas do Towarzystwa przemysłowego leśnego. Ruszyłem ze Lwowa pociągiem nocnym kolei Czerniowieckiej, i stanąłem 15 Października 1878 rano w Stanisławowie, gdzie zastałem już podwodę, która mnie w trzech godzinach do Sołotwiny przywiozła. Tam powitał mnie radca lasowy p. Tschuppig zapytaniem, czy przywiozłem z sobą strzelbę, w tym bowiem dniu miano urządzić małe polowanie, a naradę prawną mieliśmy odbyć podczas długiego wieczora jesiennego. Jak zwykle miałem dwie strzelby, podwójny sztuciec Lefaucheux, kaliber 20, i śrótówkę Springera, systemu Lankastra, kaliber 12. Z radością naturalnie przyjąłem propozycyę. Po krótkiem śniadaniu ruszyliśmy do Rosólny, miano przepędzić górę Kliwę, pierwsze z niziny podnoszące się podgórze. Przy rogatce leśnej oczekiwała nas straż lasowa od świtu i zdała sprawę na naszą pociechę, iż podczas wyczekiwania przemknął gruby niedźwiedź przez zrąb z góry Kliwy do niżej położonego przez nagonkę już zajętego miotu. Z położenia miotu należało wnosić, że niedźwiedź z niego wyjść nie mógł, część bowiem lasu, mająca być przepędzoną, obejmowała przestrzeń zaledwo 100 do 120 morgów, i tworzyła wcale regularny czworobok, którego jedna strona zrębem graniczyła z górą Kliwą, a na przeciwnej stronie ustawioną była nagonka wraz z kilku drążkami psów. Po jednej skrzydłowej stronie leżała wieś Rosólna, po drugiej rozlegały się role i łąki. Musiał więc niedźwiedź, pędzony z dołu ku górze, przechodzić przez zrąb, a prawdopodobnie nawet starym swoim przesmykiem, na którym stałem ja i radca lasowy Tchuppig. W milczeniu zajęliśmy nasze stanowiska na krajach zrębu i wyczekiwaliśmy z niecierpliwością rozpoczęcia gonu, a nakazano poprzednio psy ze sfor wcale nie spuszczać, ponieważ niedźwiedź musiał przed nagonką wyjść na myśliwych, i zaskoczony w miocie skrajnym, pomknąć przy pierwszym wrzasku naganiaczów w góry. Zaledwo na skrzydle ozwała się trąbka, poczęły w skutek jakiegoś niewyjaśnionego nieporozumienia puszczone psy gonić. Gon szedł ku mnie, i wnet stara koza przemknęła koło mnie na strzał przez zrąb, goniona przez dwa psy. Nagle spostrzegam coś czarnego, kudłatego w gąszczu, pomykającego dosyć szybko ku zrębowi, gdy wszakże odległość wynosiła 80 do 100 kroków, to nie zdołałem przy mglistem powietrzu dostrzedz wyraźnie nawet zarysów tej postaci, i wyczekiwałem z gorączkowem wzruszeniem pojawienia się jej na zrębie. Z wielkiem jednak mojem podziwieniem wyszedł pochylony gajowy, który z powodu mgły i wilgoci wdział czarny swój kożuch kudłami do góry, i który chcąc winę swoję wypuszczenia przedwczesnego psów naprawić, popędził za nimi, aby je połapać, jakoż udało mu się, gdy psy trop sarni na zrębie straciły, jednego z nich zchwycić, drugi zaś poszedł niestety nazad w miot, trafił na świeży trop niedźwiedzia, wpadł nań i gonił od linii strzelców ku nagonce. Prześladowany przez psy, trwożony wrzaskiem gońców, przemknął niedźwiedź wzdłuż szeregu naganiaczów, i wypadł u kraju lasu na ostatniego strzelca gajowego, uzbrojonego w kapslówkę. Długo mierzył do niedźwiedzia na 20 może kroków przemykającego, i w końcu dało się słyszeć głośne: kłap! — kłap! paf! a niedźwiedź nietknięty poszedł ku górze Kliwie, niezawodnie w duszy wielce rozradowany, że kapslówki na wilgoci często zawodzą, i że odtylcówki dotąd w tych okolicach nie są rozpowszechnione. Długo jeszcze rozlegał się gon psów, które daleko w góry poszły za niedźwiedziem, i późnym dopiero wieczorem powróciły. Z przykrem uczuciem doznanego zawodu opuściliśmy nasze stanowiska, nie rychło bowiem będzie znowu niedźwiedź bez śniegu w tak korzystnych warunkach otropionym. Nasz zły humor wzmógł się jeszcze bardziej, gdy kierownik polowania oświadczył, że następny poza nami położony miot również popsuty, ponieważ niedźwiedź przeszedł przezeń, a głośny gon psów wypłoszył niezawodnie czy to leżącego w nim jakiego niedźwiedzia, czy też dzika.

Drugi miot składał się z części góry Kliwy, i zajęty był wzdłuż jej pochyłości na dosyć wąskiej drożynie leśnej. Objętość mogła wynosić 100 do 130 morgów. Moje stanowisko było prawie we środku przy załomie, a dyrektor lasów Hess zwrócił moją uwagę, że to właśnie przesmyk niedźwiedzi, że wszakże w obecnym stanie rzeczy ani myśleć o tem można, by drugi niedźwiedź w miocie się znajdował, ale niezawodnie wyjdą na strzał rogacze i lisy. Prawdziwość tego twierdzenia była dla każdego doświadczonego myśliwego tak jasną, że ani chwili nie oddawałem się złudzeniu, iżbym mógł strzelać do niedźwiedzia lub dzika. Postawiłem przeto sztuciec mój z odwiedzionymi kurkami przy drzewie, i trzymałem siedząc na stołku myśliwskim śrótówkę w ręku. W tej chwili puszczona swora gończaków szła za lisem, chybionym przez mego sąsiada Dra Klemensa, i może pięć minut upłynęło od owego strzału, gdy spostrzegłem w gąszczu czarną jakąś postać. W pierwszej chwili myślałem, że to znowu może gajowy, ale szybkie ruchy kazały mi się domyślać, że to zapewne dzik, opuściłem więc śrótówkę między nogi, chwyciłem obiema rękami sztuciec, i gdym zwolna podniósł go może na stopę w górę, wymknął niedźwiedź na odsłonione z gąszczu miejsce, i zatrzymał się przez chwilę, wietrząc w prawo i w lewo. Oddalony był odemnie może na 60 kroków i stał tak, że głowa i przednia część korpusu były odsłonione, gdybym więc od pierwszej chwili

miał sztuciec w ręku, musiałby otrzymać śmiertelny postrzał. Przez lat trzydzieści marzyłem o takiem spotkaniu, a teraz siedziałem wobec niedźwiedzia bezwładny i nie mogłem się ruszyć. Kto kiedykolwiek znajdował się w podobnem położeniu, pojmie, o ile owe chwile, w których niedźwiedź w około wietrzył, zdawały się być wiecznością. Zupełna moja nieruchomość nie pozwalała niedźwiedziowi dostrzedz mojej obecności, więc spiesznie przemknął 20 kroków może wynoszące oddalenie od drożyny leśnej, i przeszedł przez nią. Nie miałem czasu zerwać się ze stołka, musiałem przeto siedząc i śrótówkę trzymając między nogami złożyć się w prawo. Tyle tylko pozostało mi czasu, aby gdy niedźwiedź już przesmykiem swoim przemknął, sztuciec ściągnąć do ramienia i strzelić do uciekającego. Dym po strzale nie pozwolił mi przy mglistem powietrzu drugi raz strzelić, ale słyszałem dokładnie, jak kula explodująca uderzyła i pękła, mimo tego jednak najtroskliwsze poszukiwanie nie wykryło postrzału, a sąsiad mój Dr. Klemens wcale nie spostrzegł, iżby niedźwiedź po strzale znaczył, lubo pudło w oddaleniu 50 kroków zwłaszcza, żem według mego przekonania dobrze choć nieco krótko mierzył, nie było prawdopodobnem. W każdym razie wkrótce miało się wyjaśnić, czy niedźwiedź był trafiony, ponieważ do wielkich zalet kuli explodującej należy, że zwierz postrzelony nią mocno farbuje. Po skończonym miocie, w którym sąsiad mój z lewej strony ogromną maciorę, inni zaś myśliwi kunę leśną i lisa zabili, a gruby odyniec był postrzelony, rozpoczęto poszukiwanie, ale niestety ani kropli farby nie dostrzeżono. Gdy przestrzeń może na 100 kroków najstaranniej rozpatrzono nie znajdując farby, straciłem zupełnie otuchę, iż niedźwiedź był postrzelonym, ale w tejże chwili zawołał leśniczy: „Ot leży niedźwiedź!“ Trudno mi opisać uczucie gwałtownego przeskoku z zupełnej prostracyi do najwyższej radości, albowiem w istocie leżał niedźwiedź już martwy o 100 do 120 kroków od postrzału. Był to pięcio lub sześcio-letni niedźwiedź brunatny, samiec, z rodzaju mniejszych, ważył 91 kilogramów. Kula uwięzła nieco niżej pod łopatką, a u wylotu zwisały wnętrzności, które kula explodując z środka wyrzuciła, tem też rzecz była wyjaśniona, dla czego farba na tropie się nie znajdowała, zwisające bowiem wnętrzności zatkały zupełnie przewód wylotowy. Niewyjaśnionem wszakże i niepojętem było dla nas, jakim sposobem niedźwiedź w miocie pozostał. Niewątpliwie nie był to ten sam niedźwiedź, który z pierwszego miotu wyszedł, tamten bowiem był ogromny, czarny, zresztą popędziły go psy wysoko w góry. Również niepodobna było przypuszczać, iżby ów drugi niedźwiedź przy tak głośnej wrzawie tylu psów mógł spokojnie w tak małym miocie pozostać. Ale i ta zagadka rozwiązaną została w dziwny sposób wieczorem na podstawie przyjętej zasady: *cherchez la femme!* W oddalonej o pół mili niemal od Rosólna włości Majdanie zawiązała ochocza niewiasta wiejska stosunek miłosny z żwawym parobkiem, a kochankowie przychwyceni byli przez zdradzonego męża na gorącym uczynku. Rozpoczęła się bójka między kochankiem a mężem, i skończyła odwrotem pierwszego do pobliskiego lasu, gdzie go rozsrożony mąż gonił. Ponieważ parobek przez kilka dni nie wracał do domu, rozszerzyła się przeto pogłoska, że mąż zabił kochanka w lesie. Żandarmerya dowiedziawszy się o tej pogłosce, zarządziła poszukiwanie trupa w lesie Majdańskim. Poszukiwanie to odbywało się równocześnie z rozpoczęciem polowania, i pozostało bez rezultatu, bo trupa nie znaleziono. Przy tej sposobności ruszyli do przeszukania lasu użyci chłopi niedźwiedzia, który w spiesznej ucieczce pomknął ku górze Kliwie. Widocznie niedźwiedź trzymając się swego zwykłego przesmyku, trafił przypadkiem na ów właśnie goniony drugi miot, i wypadł na mnie. Dla uspokojenia muszę jeszcze dodać, że młody Don Juan Majdański powrócił po kilku dniach do domu, naznaczony tylko szerokimi sińcami, ale zresztą zdrów i cały.

Zachęcony takiem powodzeniem, polowałem jeszcze przez kilka dni na niedźwiedzie w Listopadzie r. 1878 w państwie Nadwórniańskiem, obwodzie Stanisławowskim, a później w państwie Rybnickiem, obwodzie Samborskim. — Ale polowania te z powodu słoty wcale się nie powiodły. W Rafałowej, przy samej granicy węgierskiej, napadła nas taka burza, istny huragan śnieżny, iż z największym pospiechem musieliśmy z gór uciekać do leśniczówki, zkąd mieliśmy się udać do Nadwórny. Wspinając się w górę ku stanowiskom, spłoszyliśmy siedm głuszców, lubo pochód nasz był głośnym a nawet hałaśliwym, dowód to jasny, jak wiele ich tam się znajduje. Państwo Rybnickie posiada najniezawodniejsze rewiry niedźwiedzie, w dawniejszych latach niemało ich tam ubili książęta Schwarzburg-Sondershausen, mnie zaś szczęście nie sprzyjało, albowiem podczas mego pobytu tamże deszcz lał nieustannie i wszystkie polowania się nie udawały, jedno tylko z psami gończymi na wydry było nadzwyczajnie ciekawe.

*P. R.* Dalszy opis owego nader zajmującego opisu polowań na niedźwiedzie umieściliśmy ubiegłego roku w Numerach „Łowca“ 8ym str. 125 i 9tym str. 139. *Tłum. J. L.*

# JELEŃ

PRZEZ

*Alexandra Ubysza.*

(Dokończenie).

Po tej niefortunnej wyprawie powróciliśmy do domu, a nazajutrz wyruszyliśmy na nową zasadzkę, której skutek o wiele był lepszym, bo ubiliśmy rogacza krasnego, czternastaka. Przed zachodem słońca udaliśmy się w Bieszczad i rozstawili wzdłuż brzegu polany, ciągnącej się długą smugą w wysokopiennym lesie, stanowiącej granicę między wsiami Jaworem i Wetliną. Po stronie Jaworzańskiej znajdowało się rykowisko, rozsławione z powodu dziwnego wydarzenia. Przed laty pewien wieśniak wracając z Węgier, gdzie jako kosarz pracował, szedł do domu. Włościanie górscy chętnie omijają bite gościńce, których tu zresztą bardzo mało, a raczej jeden tylko, wiodący do miasteczka Lutowisk. Z Sianek, gdzie w Bieszczadzie wytryska źródło Sanu u stóp pionowej skały, bieży na Dźwiniacz górny gościniec do Węgier, a tam pierwszą osadą

jest wieś Uzsok, może najznakomitsze z skuteczności wód mineralnych miejsce kąpielowe, odkryte w odległych czasach, jak niektórzy twierdzą wcześniej nawet, jak gorące zdroje Mehadyi, Trenczyna i innych. — Kosarz nasz wlókł się znużony ścieżynką, wreszcie siadł pod bukiem dla odpoczynku, i dla zabicia czasu począł obliczać swój skarb zarobiony, wymieniony na same przez lud zwane „sorokowce“ t. j. dawne „cwancygiery“ węgierskie, na których z jednej strony był wizerunek Matki Boskiej z napisem: *Patrona Hungariae.* Nagle usłyszał jakiś łomot i głos jękliwy, i ujrzał w niezbyt dalekiej odległości dwa walczące z sobą rogacze, jak splotłszy wieńce miotają sobą jakoby dwaj siłacze, a raczej pchają się wzajemnie, raz bowiem jeden, to znowu drugi cofa się party siłą przeciwnika. Chłop dobywszy z za pasa nieodstępnego toporka, rzuca się obces na walczących, którzy spostrzegłszy człowieka pomknęli w las. Wieśniak po bezskutecznym ataku na rogaczów ruszył w dalszy pochód ku domowi. Miejsce, na którem wrzała walka, było zboczystem podnóżem góry, porośniętem z zrzadka grubymi bukami. Ledwie posunął się kilkadziesiąt kroków naprzód, ujrzał znowu walkę dwóch rogaczy, ale innych, słyszał bowiem wyraźnie, jak pierwsze pomykały daleko. Z dwóch zapaśników jeden leżał na ziemi, jakby warował, z głową podniesioną, bo ją drugi swym wieńcem w górę wznosił, a rosochy obu tak były splątane, iż stojący rogacz nad martwym już przeciwnikiem naprózno targał je, wyplątać ich nie mógł, i tylko z całem wysileniem rył racicami mech i ziemię polanki. Tym razem atak wieśniaka pomyślnym był uwieńczony skutkiem, silnem uderzeniem topora ubił żywego, a drugi już był martwym. Przemyślny chłop zakrył zdobycz swoją gałęziami, poszedł do wsi rodzinnej, wezwał dwóch sąsiadów, i dwoma czterowołowemi podwodami zawieźli dwa krasne rogacze do *madżiarskoho grafa*, który im suto bo 40 złr. dawnej waluty za nie zapłacił, prócz tego gościnnie uraczył i każdego z nich półkorcem żyta obdarzył.

Na tej ponownej wyprawie zajęliśmy stanowiska nie daleko polanki, na której co roku odbywało się rykowisko jeleni. Krzykliwy i źle strzelający Ż. pozostał w domu, a natomiast przybył nam leśniczy z Hulskich, strzelec znakomity, który do wszelkiej zwierzyny strzelał ze swego ciężkiego sztućca tylko kulą. Nie pamiętam jego nazwiska, był to Niemiec z górnej Austryi, którego współrodacy nabywcy wsi Hulskie, pozostawili w niej jako administratora i zawiadowcę huty szklanej, która z powodu braku piasku i dogodnych dróg nie miała powodzenia. Leśniczy ów i hutnik miał wtedy może lat 21, mimo jednak tak młodego wieku strzelał po mistrzowsku. Starsi czytelnicy pamiętają zapewne dawną austryacką, zdawkową, miedzianą monetę, zwaną „dwa dudki“, stawiało się je przy drzewie, a leśniczy ten na 150 kroków wybijał w nich dziurę wielkości kalibru swojego sztućca tak, iż na 10 strzałów ledwie trzy były mniej celne. Przepraszam za zboczenie i wracam do naszej wyprawy. Zajęliśmy nasze stanowiska wieczorem, rano stawać niebyło można, bo wtedy mogłyby nas jelenie zoczyć, zwietrzyć lub wreszcie zetknąć się z nami, a wtedy jako płochliwe i ostrożne jużby światami umknęły i dla nas były stracone. A rogacze krasne zwykle nadedniem krążą około rykowiska, za nimi zaś w niejakiem oddaleniu orszak weselny t. j. chłysty i *tutti quanti.* W nocy też stanowisk zajmować niepodobna, bo knieje górskie za dnia nie przystępne, a tem mniej w nocy, chociażby nawet światłem księżyca oświeconej. Było nas siedmiu, a Piszta znowu objął komendę, trzech, między tymi mnie postawił na samem rykowisku po stronie Jaworzańskiej, inni trzej, między którymi znajdował się Niemiec, stanęli z drugiej strony łąki od Wetliny. Plan był wybornie obmyślany, z jednej bowiem i drugiej strony dochodziły nas poryki jeleni, i z obu stron można się było ich pojawienia spodziewać. Piszta wrzasnął jak sojka w jesieni, było to hasło: „Baczność! cisza!“ Czekamy nieruchomi, widno jak za dnia od blasku księżyca, rykowisko widać jak na dłoni, ale nic nie słychać krom dalekich poryków. Piszta przepadł bez wieści, byłem pewny, że spi gdzieś uraczywszy się zbyt hojnie nektarem *aquae vitae*, a przedtem jeszcze uważałem, że nos jego zwykle czerwony stał się popielatym, a język utykał przy rozmowie na nieustannie powtarzanem: lem, lem! Więc już palence przypisywałam zły skutek łowów. Cicho i cicho — wreszcie dał się słyszeć głos basowy kapitalnego rogacza — może to Piszta wabi? Baczność! Po chwili odzywa się blisko w innem miejscu w krótkich odstępach baryton — to chłyst niewątpliwie. Byłem pewny, że poprzednio odzywający się krasny rogacz zwietrzył zasadzkę, i umknął, a młokos zapalczywy idzie na swoją zgubę — wtem pada strzał. Nauczeni wczorajszem doświadczeniem żaden z nas nie ruszył się z miejsca. Przebrzmiały echa strzału, i znowu zaległa cisza, ale nie w mojej piersi, serce tłukło się gwałtownie, pomimo chłodu spociłem się jakby w łaźni, wysłuchuję z natężeniem najmniejszego szelestu, oczy ledwo mi z orbit nie wyskoczą. W takim nastroju duszy i ciała przeżyć kilka godzin, to istna męka. Już i świtać poczęło, a jeszcze nikt nie rusza ze stanowiska, aż w końcu zagrzmiała trąbka Piszty głosem pełnym, mistrzowskim, tak trąbił chyba niegdyś Wojski w Soplicowie, lub dziś p. Zadurowicz w Łopuszance. Co rychlej dążymy w stronę strzału. — Niemiec powalił rogacza nie zbyt krasnego, ale zawsze ósmaka. Trafił go pod przednią łopatkę, toż zaledwie kroków kilkanaście dalej pomknąwszy runął na mchy, brocząc je strugą farby płucnej, bo jasno-czerwonej. Niemiec się radował, a my pospuszczali nosy, Piszta zaś obwieścił tryumf łowiecki wychyleniem do dna podanej mu sporej manierki okowity. Wyciągam mu z zanadrza jego kwartową flachę próżniuteńką, a on mówi: „To *lem* ne palenka urfi (paniczu)“. — „A cóż w niej było?“ pytamy. — „Ot *lem* takowe utorim (po słowacku: mówię) bardz dobra ricz na betiary, a na szumneho ni“. — Był to sekret jakiś, którego zdradzić w żaden sposób nie chciał, później dopiero udało mi się za trzy cwancygiery wydobyć z niego owe *arcanum.* Do sporządzenia jego potrzeba przedewszystkiem moczu latującej się jałówki, pyrkającej się kozy lub owcy, ale poraz pierwszy podlegających popędowi płciowemu, zebrać go w naczyniu nowem, najlepiej do flaszki zupełnie czystej, i kropić nim ziemię w odstępach kroków kilkunastu. Woń tego w zanadrzu rozgrzanego płynu ściąga ze wszystkich stron rogaczów, a szczególnie chłysty. Nie miałem sposobności naocznie się przekonać o skuteczności tego środka, nie wątpię jednak o niej. W czasie bekania się mają łanie zwyczaj, w skutek podrażnienia części płciowych, częstego moczenia, co czynią sposobem krowim, kozim lub owczym, przysiadając nieco na zadzie. Po takich tropach wietrząc bekające się łanie, chodzą rogacze a szczególnie jurne chłysty porykując nieustannie. Mocz też powyższych zwierząt domowych pociąga osobliwie chłysty i szpiczaki. — Piszta opowiedział mi też, co się z nim działo: „Rozstawiwszy panów, poszedłem daleko w ostęp, nie słysząc poryków, nie wabiłem, dziwną mi była ta cisza, i sądziłem, że ktoś za dnia popłoszył jelenie, bo nie tylko rogacz kapitalny, ale też i betiar ostrożny, i człowieka unika, więc użyłem mojego niezawodnego środka, i wracając ku stanowiskom kropiłem trawy i mchy, w końcu zawabiłem raz *szumnoho*, ot i wyszedł i mamy go“. — Zabrał się

zaraz Piszta do oczyszczenia rogacza, co jest koniecznością, w przeciwnym bowiem razie, części płciowe rychło się rozkładają, zakażają krew i psują mięso. Z moszen jelenich wyrabiają na Węgrzech kapczuchy na tytuń, które drogo bywają płacone, osobliwie wyprawione na biało jak ircha, paski zaś z tej skóry, pocięte drobno i poskręcane w wąziutkie sznureczki, stanowią kutasy. Przyozdabiają też takie kapczuchy suto jedwabnym, złotym lub srebrnym haftem.

Na jedną jeszcze rzecz ważną zwracam uwagę przy łowach na jelenie. Ochraniać należy krasne rogacze z dwóch powodów, mianowicie, iż kapitalne rogacze najlepsze do rozpłodu na podstawie wyżej już przywiedzionej, że z silnych rodziców zdrowe i krzepkie rodzi się potomstwo. Następnie pożytek z mięsa ubitego kapitalnego rogacza zwłaszcza w czasie rui nie wiele warte, twarde, czerwone, cuchnące. Wstrętna ta woń pochodzi z jąder, zresztą jak mówią myśliwi: „czuć go po śmierci wiatrem“.

Polowanie na wychodnego. — Po owych niefortunnych dla mnie łowach podczas rui na osławionem rykowisku, nie zniechęciłem się wcale, owszem tegoż roku w Październiku, wziąwszy z sobą przewodnika, leśnego Fedzia, ruszyłem z nim na wychodnego. Fedzio z tego chyba był sławnym, że strzelać nie umiał, ale Bieszczad znał jak kąty swojej chyży (chaty), a równie też naturę wszelkich zwierząt, bo nic w tym względzie nie uszło jego uwagi, wszystko co mógł podpatrzył, i zbadał praktycznie. Taki przewodnik był dla mnie pożądanym, bo nasze usposobienia w tej mierze wielce się z sobą zgadzały. Nie brak mi cierpliwości śledzić mozolnie każdy choćby najdrobniejszy przejaw w życiu zwierzęcia czworonożnego, ptaka, ryby lub nawet owada, ale temperament zbyt gorący czyni ze mnie wcale nie tęgiego strzelca, wtedy ćmi mi się w oczach, serce wali młotem, ręka drży, i często nie zmierzywszy się opanowany gorączką walę z pod ramienia. — Pewnego dnia wybrałem się konno do Fedzia, który mieszkał w Zatwarnicy. Konia oddałem w opiekę jego żony, kobiety olbrzymiego wzrostu, gdy przeciwnie Fedzio był mały i nędzny, więc podobno często nosił na sobie sińce i guzy jako dowody miłości swej połowicy. — Z nim tedy wybrałem się w Bieszczod w najlepszą porę, bo przed wieczorem. Doszliśmy do miejsca, na którem według twierdzenia Fedzia codzień żerować zwykły jelenie w stadzie złożonem z sześciu sztuk.

Jak już wyżej nadmieniłem, nie umiał Fedzio strzelać, a jego przyrząd do strzelania, który mi z tryumfem pokazał, lubo podobny do strzelby, nie był nią jednak. Lufa czyli kaliber w skutek zużycia był nie okrągły, lecz raczej owalny, zamek jakitaki, ale kurek złamany, nie można go było naciągnąć ani spuścić, więc sznurkiem się to wykonywało, zresztą lufa była zardzewiałą zewnątrz i wewnątrz. Fedzio klął się jakby obuchem bijąc się kułakiem w piersi, że „nema lipszyi rusznyci na Bozim switi“, i że z niej ktoś tam kiedyś ubił maruchę. Zapragnąłem spróbować tego nie bardzo bezpiecznego aparatu do zabijania zwierzyny, strzeliłem więc na 30 kroków do grubego buka, mierzyłem starannie, a kula ugodziła gdzieś w wierzchołek drzewa. Śmiejąc się oddaję strzelbę Fedziowi, on ją nabija, mierzy gdzieś w gwiazdy, a gdy mu wskazuje cel na dole, odpowiada: — „Nycz, nycz, tak bude dobre“, i wali, a kula uderzyła w pień buka kilka łokci ponad celem. Niezkonfundowany tem Fedzio, zapewnia, że śrótem bije dobrze, strzelamy więc, na 20 kroków utkwiły w ćwiartce papieru dwa śruty kacze. — Był to miesiąc Październik, dłuższa posucha i nocne przymrozki zwarzyły wegetacyę, zioła zeschły i zżółkły, wytrwalsze zaś trawy były jeszcze wprawdzie zielone, ale pochyliły się do ziemi, szukając w niej ochrony od nocnych przymrozków, jakie Bieszczad w owej porze stale już nawidzać zwykły. Przez kilka godzin wspinając się na szczyty pomniejszych gór, które w celu dostania się do ulubionego żerowiska jeleni, zwanego: „popową polanką“ przebyć trzeba było, dotarliśmy wreszcie do niego. Ja byłem mocno zgrzany i znużony, Fedzio zaś chociaż dźwigał na sobie swoją „rusznyciu“ i spory zapas prowiantu w rękawach swej czuhoni czyli bundy z grubego, ciężkiego domowego sukna, a nadto derkę z pod siodła mego konia, którą zabrał jowialnie się wyrażając: „chot' ne potribna, ałe zdaść sia“; to jednak ani się zmęczył, ani zbyt spocił lubo był wątły, mały i blady. Popowa polanka leżała na środkowej wyżynie Bieszczadu, zawsze jednak wyżej od najwyższych szczytów gór nie należących do jego pasma, toż dojrzeć było można z owej polanki siniejące szczyty Magóry i Otrytu, a powyżej wznosiły się szczyty Bieszczadów, jak „Łysy werch“, „Szczerbata“ i wiele innych, nie noszących odrębnej nazwy. Ów Łysy werch to istna łysina na jakiejś olbrzymiej głowie, której część górna bezwłosa, dolna zaś jakby wieńcem otoczona ciemnym, świerkowym borem. Szczerbata z swym stromym, ostrym niby piła, podłużnym, skalistym szczytem, istotnie podobną jest do piły lub szczęki krokodyla, u której gdzieniegdzie brakuje zębów, ztądto lud nazwał tę górę szczerbatą. Stanęliśmy tedy na owej polance, a chociaż ona miała ustaloną reputacyę ulubionego żerowiska jeleni, to jednak dowiedziałem się, że o tej porze, gdy już mrozy ścisną, nie ma tam już jeleni, czemżeż się tam mają żywić, zioła mróz zważył, mchy tylko sterczą pokrywając ziemię grubą warstwą, wrzos jałowy, a wilczej jafory listki przybrały w skutek mrozu barwę purpurową. Szkoda mego trudu, pomyślałem sobie, zdawało mi się jednak, iż jelenie pomimo braku żeru na polance muszą w pobliżu jej się znajdować tem bardziej, że bukwi w owym roku było bardzo wiele. Nie ufając bardzo Fedziowi, bo wiem z doświadczenia, jak nie pewną jest chłopska rada, zapytałem go od niechcenia: „Wyjdą tu jelenie?“ — „Prysiaj Bohu wyjdut panciu!“ — Po chwili mówię do niego: „Ej! mnie się zdaje, że tu już żerować nie będą i w tym roku nie wyjdą?“ — „I ja wariu (mówię), szczo ne wyjdut“. — Takim to był do rady mój Fedzio, więc sam rozważałem, jakby się spotkać z stadem jeleni. Polanka otoczona była wysokim lasem świerkowym, więc nie było na niej dla jeleni żeru, pytam Fedzia, czy jest w pobliżu las bukowy? — „A to chyba na potażni“. — Poszliśmy zatem na potażnię, nie odległą. Był to las złożony z samych olbrzymich buków, niezbyt gęsty, przytykający do bezdrzewnego uroczyska, rzadko porośniętego krzakami jałowca, z sterczącemi gdzieniegdzie dużemi bryłami kamieni. Pod każdym bukiem rozsiały się gęsto ziarnka owocu tego drzewa. Po pierwszym mrozie pęka łupina guzów czyli jak je lud nazywa: „*szyszli*“, i z każdej z nich wypadają dwa ziarnka. Śród tego lasu wił się potoczek. Były przeto warunki, które kazały na pewne niemal przypuszczać bytność jeleni. Nawet Fedzio był tegoż samego mniemania, bo zawołał: „Buły ot nożyci!“ — „Jakie nożyce?“ — „A ratyci proszu pana“. — Przybliżam się do Fedzia, który mi wskazuje na odmiale czyli ławie iłowej potoka kilkanaście tropów jelenich. Była tedy już pewność, że miejsce to jest obecnie żerowiskiem jeleni tem bardziej, że tropy były świeże, a tropy te mają istotnie podobieństwo do nożyc, jakiemi w górach strzygą owce. Na tych to tropach nauczył mnie Fedzio rozpoznawać, czy jeleń wolno lub pędem pomykał. Idzie wolno, gdy brzeżki wewnętrzne racic ku sobie zbliżone, im pęd szybszy, tem więcej oddalają się one od siebie. Nieraz później

sam przekonałem się o prawdziwości tej teoryi. Uszczęśliwiony wykryciem ostoi jeleni, począłem szukać miejsca dogodnego do przepędzenia nocy, długiej w tej porze i chłodnej, bo ogniska rozkładać nie można, blask i dym wnetby odstraszył zwierza. Jak już wyżej nadmieniłem, miejsce to miało nazwę potażarni, gdyż tu niegdyś wyrabiano potaż. Las miał tu smutną postać, był znacznie wytrzebionym, a pozostałe drzewa nosiły na sobie ślady ognia, i nie miły sprawiały widok. Im grubszy był buk, tem obszerniejsze miał wypalone dziupło. — W jednem z nich obrałem sobie miejsce na nocleg, a Fedzio znalazł sobie w pobliżu podobne schronienie. Posiliwszy się wódką, chlebem i bryndzą, a na deser sporą garścią bukwy, udałem się do mojej gawry. Noc była ciemna, posępna, błękit zakryty grubą warstwą chmur, wreszcie począł padać drobny deszczyk, co mnie mocno martwiło, bom się obawiał, iż jelenie w deszcz nie wyjdą. Chciałem wcześnie zasnąć, aby rychło przed świtem się obudzić, gdy stado na żer wyjdzie, zmrużyłem więc oczy, ale nagle doznałem uczucia, jakobym spadał w przepaść bezdenną, sądziłem, że to wpływ nadchodzącego snu, lecz gdy znowu zamknąłem oczy, powtórzyło się silniej jeszcze to uczucie. Zaniepokojony wychodzę z gawry, ale krok mój chwiejny, a głowa się zawraca, ziemia umyka mi z pod nóg. Czyż odrobina wódki wywarła taki skutek? — niepodobna, nie mogłem pojąć, co się ze mną dzieje, przywołałem Fedzia, a on patrząc na mnie ze śmiechem rzecze: „Tażeśta, jiły bukwu!“ Pobiegł szybko do swej gawry i przyniósł szczyptę soli, którą spożywszy uczułem znaczną ulgę. Taki skutek wywiera bukwa w nieoswojonym z nią organizmie, Fedzio jadł ją garściami bez szwanku. Podobnego odurzenia doznają także zwierzęta szczególnie w początku żywienia się bukwą, co miałem sposobność spostrzegać u świń domowych nieraz, odurzają się one do tego stopnia, że krokiem naprzód ruszyć się nie mogą, lub też pienią się, wpadają w szał i uganiają jak wściekłe. Z tejto głównie przyczyny dziki bywają w lasach bukowych górskich o wiele sroższe, jak w dębowych, upajają się tym ulubionym swoim żerem osobliwie świeżym, na wiosnę zaś, gdy w skutek wilgoci napęcznieje lub nawet wypuści porostki, traci już moc odurzającą. Uspokoiwszy się spożyciem soli, usnąłem w mojej gawrze. Daleko było jeszcze do brzasku dnia, kiedy się obudziłem, spojrzałem przez szeroką szparę pnia, deszcz nie padał, słucham, czy też jelenie nie żerują, dostrzedz ich było niemożliwem. Coraz widniej się robi, coraz bardziej rozszerza się widnokręg — nic nie widzę ani słyszę. W stronie uroczyska był wschód słońca, toż niebo zarumieniło się tam, odbijając blask słaby o werchy Bieszczadów. Uroczy to był widok, na chwilę zapomniałem o jeleniach, szczyty gór tej nocy obielone śniegiem świeciły się blaskiem czystego srebra, deszcz padający z wieczora był dla niższych warstw powietrza wodą, dla wyższych śniegiem. Wschód łuną zapłonął, pragnąc widzieć wschodzące słońce zwróciłem wzrok ku uroczysku — i osłupiałem na widok rogacza. Jak posąg spiżowy na piedestalu kamiennym, stał on oparty przednimi badylami na głazie nieruchomy, z głową uwieńczoną rosochami w górę wzniesionemi, świece utkwił w jedno miejsce. Gdyby nie strugi pary wychodzące z rozwartych nozdrzy, możnaby było w istocie wziąć go za posąg na purpurowem tle błękitu. Brakło chyba ognistego krzyża nad jego skronią do owego legendowego jelenia św. Huberta. — Zachwycony tak wspaniałym widokiem zapomniałem posłać kulę ledwie o 20 kroków odemnie oddalonemu jeleniowi, dopiero huk strzału obudził mnie z zachwytu, a jeleń w jednej chwili znikł jakby czarodziejskie zjawisko. Pomknął on lotem błyskawicy, a wnet ozwał się dyszkantowy głos Fedzia: „Distaw, distaw!“ Pędem pobiegł on ku miejscu, gdzie stał jeleń, podążyłem i ja za nim — jelenia tam nie było. Napróżno usiłowałem tłumaczyć Fedziowi, że choćby trafił, nie mógł go zabić śrótem, że prawdopodobnie chybił ze strzelby tak lichej i rozrzucającej. Ale perswazye moje były bezskuteczne, jak szalony pogonił w las świerkowy przylegający do uroczyska. Ja zaś roznieciwszy ognisko poruszyłem w pamięci mojej świeży, wspaniały obraz uroczego a tak niespodziewanego pojawienia się jelenia. Niezawodnie wysilony na godach weselnych wypoczywał i wzmacniał siły na szczytach gór, a spadły śnieg zniewolił go do zejścia w niższe warstwy powietrzne i szukania porzuconego stada. Może po godzinie wrócił Fedzio zasępiony, znużony i głodny, dopiero po potężnym hauście wódki i spożyciu kawała chleba rozwiązał mu się język. Począł robić mi wymówki, żem się zapatrzył w jelenia nie strzelając, żem go zmusił do tego niefortunnego strzału, żem mu nie chciał dać kuli, o którą wcale się nie upominał, że musiał strzelać z zbyt wielkiej odległości (najwięcej na 30 kroków) i t. p. Z uśmiechem i w milczeniu przyjmowałem owe o tyle słuszne wyrzuty, że mój strzał byłby niezawodnie celniejszym, ale natomiast cudowny widok, jaki pewnie drugi raz w życiu mojem się nie powtórzy, wynagrodził mi sowicie to uchybienie łowieckie.

Wracając do chaty Fedzia, znaleźliśmy niedaleko od wsi na Działach, jak lud tamtejszy nazywa pastwiska zarosłe gęsto krzewem jałowcowym, całe chmury kwiczołów, z których ubiwszy więcej jak 30, ruszyłem do Kr., miejsca mego pobytu. Wkrótce potem opuściłem góry, i już odtąd ani polowałem na jelenia, ani też kiedykolwiek spotkałem się z tym królewskim zwierzem.

W końcu winienem jeszcze wspomnieć o innym sposobie polowania na jelenie t. j. na podchodnego. Podchodzi się pod całe stado lub pod pojedyńczą sztukę w czasie żerowania, albo w ostoi czyli leży, gdzie stado dla noclegu lub w celu przeżuwania żeru się ułoży. Żerują jelenie zwykle na miejscu otwartem, zdala je więc dostrzedz można, ale nie zawsze uda się podejść na strzał. Zejść je na leży zdarza się chyba przypadkowo, w lecie bowiem dla ochronienia się od trapiących owadów leżą jelenie w gąszczach i zapadłych cieniach, a nigdy nawet nie płoszone nie trzymają się stale jednego miejsca, owszem często je zmieniają, wreszcie stan powietrza wpływa też na ich pobyt zawsze tylko chwilowy. Ktoby chciał szukać leży jeleni w lesie i porze dziennej po stronie południowej czyli na stokach gór słońcem opromienionych, ten ich tam pewnie nie znajdzie, bo one wtedy leżą po stronie północnej lub zachodniej — dla chłodu. W czasie długo trwającej słoty lub gwałtownej burzy z ulewą, przenoszą się na stronę południową, zaciszną. Po nocnem żerowaniu znajdują się na stokach wschodnich, po rannem w lecie na zachodnich lub północnych, a po zimowem tylko na południowych i to tak stromych, że ich tam pewnie nikt szukać nie będzie, instynktem wiedzione dążą one w te miejsca, bo tam wtedy najcieplej i najzaciszniej. — Zresztą obierają sobie leże zwykle w pobliżu potoków, wody bowiem często i wiele szczególnie w jesieni i zimie potrzebują. Polowanie takie na podchodnego w leżach rzadko się udaje, chyba przypadkiem, a strzelać z bliska nigdy prawie nie można, bo lada szelest, chrzęst najdrobniejszej gałązki dochodzi bystrego słuchu jelenia i płoszy go.

Dodatkowo nadmieniam, że jakiekolwiek polowanie na jelenie winno się odbywać w jak największej cichości, czy to podczas pochodu, czy na stanowiskach. Również uważać na-

leży starannie, z której strony wiatr wieje, i zawsze pod wiatrem szukać tej zwierzyny, chyba naganiacz idzie z wiatrem. Zresztą jest to ostrożność zachowywana przy polowaniu na każdego niemal zwierza, a jest ona konieczną, bo każdy zwierz dziki wietrzy wybornie, i tem się głównie chroni od napaści jakichkolwiek wrogów swoich.

# KORESPONDENCYE.

**Lattaquie,** 18 Maja.

Pomimo przyrzeczenia od dawna nie pisałem, bo na prawdę pisać nie mogłem. Ja stary popełniłem niedorzeczność (oszczędzając sam siebie nie mówię głupstwo), którejby najniedoświadczeńszy młodzik nie popełnił, i za to dziś jeszcze pokutuję. Z Giaurdahu, z klasztoru Akbes udaliśmy się do Antiochii, aby polować na obszernem jej jeziorze. Moim zwyczajem całą drogę szedłem pieszo i dopiero po zachodzie słońca, aby wcześniej stanąć w etapie, do którego dążyliśmy skwapliwie, osobny diabeł skusił mnie siąść na objuczonego pakunkami muła. Siedziałem wysoko jak na tronie, a przywykły od dawna do podobnej jazdy, mało dbałem o brak wszelkich strzemion i uzdy, których tu nigdy ani konie ani muły pod jukami nie miewają. Dwaj jadący przedemną towarzysze bez broni pokazali mi lisa na spadzie góry, wolniutko, impertynencko defilującego przed nami. Ze strzelby mojej wyjęte były ładunki, dalejże ich szukać, znalazły się, nim lis się oddalił. — „No, rzekłem, palnę ja do niego, choć jestem pewny, że muł, którego nie znam, zląkłszy się strzału zwali mnie na ziemię“. Świadom więc niebezpieczeństwa palnąłem do kuszącego pomimo gwaru obojętnem myszkowaniem lisa, — co się z nim stało, nie wiem, bo nie miałem czasu rozejrzeć się czując skok szalony muła i galop, na jaki tylko mogło się zdobyć przerażonę bydlę. W mgnieniu oka wyprzedziłem znacznie towarzyszów będących na przedzie. Miałem nadzieję, że muł, którego bez uzdy niepodobna było zatrzymać, sam się namyśli pod porządnym ciężarem, z którym pędził, i ustatkuje się; ale stało się inaczej: uczułem całą wieżę, na której siedziałem, przechylającą się nagle, i nim się spostrzegłem, już byłem na ziemi jakby z procy na nią rzucony. Na murawie lub mchu możeby się obyło bez mocnego potłuczenia, ale ja nie mech, nie murawę, ale twarde kamienie znalazłem pod sobą. Zdawało mi się, że wszystkie kości naraz we mnie się pogruchotały, chciałem wstać, ale zaledwie mogłem się podnieść, aby upaść jak złamany na ziemię. Pierwszy pan H. przybiegł mi z pomocą, później nadszedł hr. S., który posadził mnie na jakiegoś niziutkiego osiołka, i trzymając pod boki w ciemną już noc doprowadził do etapu. Zdawało się nam, że to tylko bardzo mocne potłuczenie i że nie ma żadnego złamania kości. Nazajutrz towarzysze moi udali się do Antiochii uproszeni, aby mnie zostawili na parę dni, po których z łatwością ich odszukam. Tymczasem nazajutrz po ich odjeździe począłem pluć krwią, i o własnej sile obrócić się nawet na rogóżce nie mogąc, parę dni tak przeleżawszy i widząc, że mi coraz gorzej, sprowadziłem z Alexandretty lektykę niesioną przez muły, i kazałem się do niej przewieźć. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastałem tam w przystani na krótko przybyłą fregatę francuską „*La reine blanche*“, której doktór mnie opatrzył, i po długiem kiwaniu głową zawyrokował, że mam dwa żebra złamane, ostawił pijawkami i obandażował winszując, że nie tak źle jest, jak zrazu osądził, jednak zapowiedział mi, że do zupełnego wyleczenia się długiego potrzeba będzie czasu, a to dla tego, że uważa po mnie, iż należę do ludzi niezdolnych długo zostawać w spokoju. Pomimo zakazu doktora nazajutrz po obandażowaniu uciekłem parowcem do Lattakii, gdzie w kilka dni później znalazł się poczciwy hr. S. i zabawił u mnie do 12 Maja. Już w końcu Kwietnia zacząłem chodzić, wybrałem się nawet z gościem moim na polowanie i przekonałem go, że chociaż po takim niebezpiecznym wypadku chodzić już mogę doskonale wprawdzie wyprostowany jak Anglik, i że da Bóg wkrotce pozostanie mi tylko wspomnienie tego bolesnego przejścia. Żałuję nadzwyczajnie, że jako inwalid nie mogłem gościowi memu sprawić dobrego polowania na gruncie tak mi znanym, dwa tylko razy mu towarzyszyłem, i miałem sposobność podziwiać donioslość strzałów jego strzelb, które przed kilku miesiącami wyszły z pod mistrzowskiej ręki Wiśniowieckiego. Już poprzednio hr. S...go nowa Teschnerówka zdumiła mnie nie pomału, wykradał się piękny dziki kot gęstwiną za wąwozem, który mieliśmy przed sobą, widząc składającego się doń hrabiego nie sądziłem, aby chciał strzelić, bo mi się wydawało niepodobnem, aby nawet zająca ubić było można na taką odległość. Strzał padł, kot dał z miejsca w górę dwa śmiertelne susy, i został trupem na wierzchu wielkiego krzaka mirtowego. — Strzał ten policzyłem do najpiękniejszych, jakich tylko kilka w życiu widzieć mi się zdarzyło. Gdy jednak później padł z tej strzelby szakal na 130 kroków i frankolin na małoco krótszą odległość, przekonałem się, że tu przypadek nie odgrywa głównej roli, ale że strzelbę należy policzyć do rzadkości, z któremi każdy myśliwy radby się spotkał. Express również się doskonale Wiśniowieckiemu udał, widziałem z niego kilka ślicznych strzałów, a szczególniej do wilka, którego przecinającego drogę sześciu antylopom, za któremi chodziliśmy, gość mój położył na 217 kroków. Spiorunowany zwierz nie ruszył się z miejsca, na którem go kula ugodziła. Nie mogłem się wstrzymać pomimo chorych moich żeber od dobiegnięcia pędem do strzelca, aby go uściskać, a panu Wiśniowieckiemu dzieła jego winszuję ciesząc się, że i my Polacy możemy poszczycić się bronią celną, sumiennie i artystycznie wyrobioną, i dziwić się tylko wypada, dla czego jej szukamy za granicą płacąc za nią dwa lub trzy razy drożej, chyba dla tego tylko, aby powiedzieć: „mam broń za 150, za 200 funtów“.

Jak mi mówiono, zeszłej zimy w Lattakii nie było żadnego polowania, było za ciepło i ptactwo, które tu zlatuje, nie potrzebowało ściągać do cieplic, mając je bliżej na północy. Ciąg wiosenny przepiórek zwykle bardzo bogaty, był żaden, i setki wyuczonych krogulców puszczono na wolność, żałując kilkutygodniowego trudu układania ich. Trzeba wiedzieć, że krogulca chwytają tu z łatwością, szybko go uczą i przyswajają, a gdy ciąg przepiórek wiosenny minie, nie chcąc go karmić do jesiennego, puszczają na wolność, wyjąwszy wszakże okolice, gdzie są frankoliny i czerwone kuropatwy, bo tam wieśniacy zatrzymują krogulce, i trapią nimi tę szlachetną zwierzynę, zanim dojdzie do połowy swego rozwoju.

Posyłam dla „Łowca“ wiersz, wkrótce nadeślę rzecz „o zimowaniu tu u nas ptaków i o szlakach, którymi idzie z północy na południe i napowrót ptactwo błotne“.

*Karol Brzozowski.*

---

Stryj, 12 Kwietnia.

Legawiec. — Niezapoznając przyjemności jakie sprawia dobry gon psów gończych, i mimo wszelkiego uznania dla dobrych chartów, które swymi zapasami z szarakiem tak nasze oko bawią i nerwy drażnią, mimo tego wszystkiego stanowczo utrzymuję, że koroną wszystkich rodzajów psów jest legawiec, tak jak polowanie z legawcem zaliczam do najprzyjemniejszych polowań. Dobry legawiec ma nietylko najwyższe zalety jako pies myśliwski, ale i jego cnoty domowe, bardzo są cenne, bo to psy bardzo inteligentne, i zawsze przy dobrem prowadzeniu do swego pana przywiązane. Zanim będę miał przyjemność przesłać szanow. redakcyi kilka moich uwag o gatunkach psów legawych, i o sposobach, jakimi sobie zawsze z najlepszym skutkiem moje legawce układałem, pragnę dziś opisać niektóre wydarzenia, których w mojej 35-letniej praktyce myśliwskiej z psami legawymi doświadczyłem. Zdarzenia te odnoszą się szczególnie do psa, który w swoim zawodzie był artystą, a którego dostałem w prezencie od ś. p. hrabiego Schlika. Pies ten był mięszańcem po matce czeskiej, a po ojcu importowanym Angliku *pointer*. Był to pies silnej budowy, a pod względem użyteczności wybornym do kszyka i do dzika. Psa tego używałem do wszelkiego rodzaju polowania na ptactwo, równie też na podjazd (pürsch) w szczególności zaś do polowania na rogacze, kiedyto często trzeba było strzelać z odległości 150 do 200 kroków i kiedy, jak to wiadomo, jeżeli kula nie trafi w serce lub głowę, raniony zwierz daleko uchodzi, i bez dobrego psa na szarem polu często przepada. Kilka razy wydarzało mi się, że postrzeliłem rogacza, który farbował ale szybko uchodził, w takim razie prowadziłem na trop mego legawca, puszczałem go i czekałem pewny dobrego skutku jego interwencyi, bo pies ten doszedłszy ranionego rogacza obalał go, dusił i dopiero wówczas naszczekiwaniem dawał mi znak, że swój obowiązek już spełnił. Na to naszczekiwanie szedłem w kierunku głosu, i zawsze zastawałem leżącego psa przy trupie zaduszonego lecz nie nadszarpanego rogacza, a tem łatwiej dochodziłem do tego miejsca, ileże pies swoje naszczekiwania od czasu do czasu powtarzał. Zdarzyło się także, że na mniejszem polowaniu w 3 strzelby, wyszło na mnie cztery sztuk sporych warchlaków, strzeliłem śrótem do jednego na 50 kroków, a będąc pewny mego strzału, poszedłem na trop i znalazłem na liściach trochę farby. Byto to na szarem polu, puściłem mego legawca na trop i wkrótce usłyszałem znane mi naszczekiwanie mego artysty, dochodzę w to miejsce, i zastaję zadem do drzewa opartego ranionego dzika, a przy nim atakującego go ostrożnie mego legawca. Naturalnie jednym strzałem dobiłem dzika. — Nie przytaczam tych szczegółów, jakobym chciał twierdzić, że takich przymiotów od każdego legawca wymagać należy, chciałem tylko wskazać, iż często pies legawy, tak jak mój służy do kszyka i do dzika; normalnie zaś wystarcza, gdy legawiec ma dobry wiatr, słuch, wzrok, gdy pilnie szuka, twardo staje, za pomykającym zwierzem nie ugania, gdy dobrze aportuje z suchego i z wody. *E. H.*

# KRONIKA.

Zdarzenie z dropiem. — Wracając raz w późnej jesieni z Husiatyna do domu, spostrzegłem o zachodzie słońca na ścierni w odległości stukilkudziesięciu kroków 8 czy 9 dropi, które na stanowisko nocne w kupkę się zeszły. Chociaż odległość była znaczną, postanowiłem strzelać, mając dubeltówkę nabitą lotkami, mówię więc do świadka tego zdarzenia, do dziś żyjącego gospodarza wiejskiego, którego końmi w sprawie indemnizacyjnej jeździłem, aby gdy się zrównamy z dropiami raptem konie wstrzymał. Jakoż ledwo bryczka stanęła, strzeliłem i jeden drop został na miejscu, reszta porwała się, a ja z drugiej lufy strzeliłem w lot, ale bezskutecznie. Nie patrzę na leżącego, tylko na te, które poleciały, czy też który się nie odłączy jako postrzelony, ale gdy z oczu je straciłem, złażę z bryczki, a wieśniak zię odzywa: „ałeż Pan szczasływy“. Idę do dropia, który przez cały ten czas nieruchomy leżał, przychodzę, drop leży na wznak przewrócony, nieruchomy, lecz żywy, biorę go więc za skrzydła i nogi a swoją nogą staję mu na szyi i duszę podeszwą, lecz że ziemia była pulchna, szyja dropia grzęźnie w niej a drop choć silnie charczy, żyje — niosę go więc do bryczki, kładę przy niej na twardej drodzę i poczynam znowu dusić butem, drop charczy lecz dodusić go niepodobna. Wtedy odzywa się wieśniak: „treba szyju pidryzaty“, myślę sobie, na co mi zastrzelonego dropia rżnąć, mam zawsze w torbie mocny sznurek, więc zduszę go sznurkiem. Odwracam się do torby w tem słyszę łopot po za sobą, patrzę, drop porwał się z ziemi, ale tylko na metr wysoko i leci wzdłuż drogi, którą nadjechałem. Biegnę za nim, chłop widząc to nawraca konie, ja wskakuje na bryczkę, puszczam konie w galop, a drop ciągle niziutko wzdłuż drogi leci, w tem robi się raptem ciemno, dropia już dostrzedz niemożna, i pogoń ustała. Nazajutrz nim jeszcze słońce zeszło, było nas czterech na miejscu, przeszukaliśmy znaczną przestrzeń we wszystkich kierunkach, skryć się nie miał gdzie, bo już nic w polu nie było, a wszędzie równina, a jednak przepadł. Chłopski rozum praktyczny dyktował, że trzeba było „szyju pidryzaty“. Później dowiedziałem się, że Niemcy taki strzał nazywają: „Krellschuss“ opisując go temi słowy: jeźli zwierz lub ptak strzelony padnie i leży na wznak, to radzę każdemu myśliwemu jak najspieszniej dobić go, nie trzeba zważać na jego nieruchomość ani wielki upływ farby, bo jeźli mu się zostawi trochę czasu, zrywa się i najczęściej przepada dla myśliwego. Ma to być uderzenie kuli, lotki lub śrótu w kość szyi bez zgruchotania jej, farba płynie z rany, uderzenie sprawia bezwładność czyli kontuzyę, a po niejakim czasie zwierz się opamięta, i ucieka. *H. S.*

---

Horodnica, 23 Maja.

Miodobory tutejsze, położone wzdłuż prawego brzegu Zbrucza, stanowiącego granicę z cesarstwem rossyjskiem, bywają dość często nawidzane przez wilki, jakich tam głębiej w kraju znaczna ilość znachodzić się ma, a tem łatwiej dostają się do nas, bo graniczymy z znaczniejszym kompleksem, przeszło 6000 morgów lasu, po lewym brzegu Zbrucza tak, że tylko koryto rzeki tej stanowi przerwę między tymi lasami. — Otóż i w tym roku nieominęła nas przyjemność widzenia owych nieproszonych gości, którzy radziby byli pozostać tu na zawsze. Zwracając na nich baczne oko, udało się straży leśnej tutejszej wytropić gniazdo młodych, z którego zabrano pięć ślepych jeszcze, mianowicie cztery pieski i jedną suczkę. Ponieważ są amatorowie, którzy pragną mieć wilka chowanego w domu, przeto pozostawiłem je wszystkie przy życiu, poddawszy domowej suce do karmienia. Z początku nie chciała ich suka przyjąć, ale wreszcie oswoiła się z nimi, i karmi jakby swe własne dzieci z taką starannością, że nieda nikomu obcemu przystąpić do nich. Obecnie parka już jest zamówiona, reszta trzy pieski są do odstąpienia panom amatorom.

*S. Ornatowski.*

---

Według wykazu urzędowego, przesłanego nam łaskawie przez dyrektora lasów rządowych p. Gustawa Lettnera ubito w Galicyi w r. 1880 zwierzyny pożytecznej: jeleni 23, danieli 11, sarn 3355, kozic 0, dzików 808, zajęcy 38.137, królików 221, świstaków 0, głuszców 37, cie-

trzewi 324, jarząbków 1184, pardw 43, kamionek 15, bażantów 422, kuropatw 9642, przepiórek 24.567, słonek 5937, bekasów 11.567, dzikich gęsi 487, dzikich kaczek 11.244; zwierzyny szkodliwej: niedźwiedzi 15, wilków 113, rysiów 66, lisów 4678, kun 400, tchórzów 507, wydr 146, dzikich kotów 96, borsuków 237, orłów 137, puhaczów 435, sokołów, jastrzębi, krogulców 3715, sów 782.

Jak w poprzednich latach, tak również teraz wyrażamy wątpliwość naszą co do wykazanej liczby ubitych pardw i kamionek, a oraz dołączamy prośbę, by Zarządy lasów ściślej zajmowały się determinowaniem ubitej zwierzyny, zwłaszcza ptactwa, a w razie uzasadnionej wątpliwości zwracały się do Zakładów przyrodniczo-naukowych, jak np. Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

W wykazie urzędowym wymienione są pardwy i kamionki niezawodnie mylnie. Właściwa pardwa mieszka na stepach Rosyi, Turcyi, Węgier, w Afryce północnej, na Ukrainie, w niektórych okolicach Wołynia i Podola. U nas często na Podolu podczas ciągu wiosennego, a osobliwie jesiennego pojawia się. Ptak, którego u nas pospolicie nazywają pardwą, jest właściwie drapiem mniejszym, zwanym *strepet (otis tetrax)*, wcale do rodzaju pardw zaliczonym być nie może, i dziwnym sposobem myśliwi nasi nazywają go pardwą. — Kamionka właściwa *(pardix saxatilis)* mieszka w Alpach, na południowych stokach gór, pospolitą jest w Grecyi, Turcyi, Małej Azyi, Arabii, w Chinach południowych, Indii. Kamionką u nas nazywają zwykle kuropatwę mniejszą. Bliższą o tych ptakach wiadomość podają z obcych pisarzów: Naumann, Brehm, z naszych: Tyzenhauz, Zawadzki i inni. Piękne okazy pardwy prawdziwej posiada Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie (Katalog, str. 126). Że zaś kamionki wcale u nas nie ma, najwymowniejszym jest dowodem, iż Muzeum to mimo usilnych od lat wielu starań żadnego dotąd okazu nie pozyskało.

---

Dr. F. Kratter zasadził i zabił d. 23 Kwietnia b. r. w państwie Nadwórniańskim, w rewirze Zalenica na górze Hreszenicy nader rzadkiego ptaka, którego ofiarował Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Ptak ów jest to głuszec mniejszy *(tetr o medius, Rackelhuhn)*, o którym później obszerną umieścimy w „Łowcu" wiadomość. Wymiar jego: 72×103 cm.

---

Z powodu słoty i zimna wyginęło w okolicy Lwowa wiele jerzyków *(cypselus apus, Mauerschwalbe)* i jaskółek, które znoszono do Muzeum im. Dzieduszyckich.

---

Sekretarz Towarz. łow. sprowadził z Prus wypróbowany proszek do lizawek, służący do przynęcania i utrzymania w miejscu sarn, o czem sz. członków pragnących go nabyć uwiadamia.

---

Miesięcznik Tow. ochrony zwierząt podaje, iż w pobliżu Jaworzny w Tatrach schwytano w Kwietniu na żelaza dwa rysie, samca i samicę. Złowione zwierzęta mimo krępującego ich nogi żelaza próbowały uciec, lecz stoczywszy się z pagórka do głębokiego potoku utonęły i znaleziono je w wodzie nieżywe. Obadwa okazy tych rzadkich już dziś zwierząt wypchane darowano Muzeum Karpackiemu w Keszmarku.

---

**Odważny żyd.** — „Minskija gubernskija wiedomosti" donoszą, że pewien żydek miał sposobność okazania niepospolitej odwagi w następującym półkomicznym półtragicznym wypadku. Pewnej nocy w początku Marca żydek z miasteczka Snowa, Morduch Matusewicz, handlujący skórami, powracał z jarmarku z Klecka (powiat Słucki) na jednych saniach z włościaninem Adamem Bertoszem. O 11ej znaleźli się podróżni w lesie, blisko wsi Chodatowicz, na pograniczu powiatów Słuckiego i Nowogrodzkiego — i właśnie drzemali obadwaj, gdy wtem rzucił się z zarośli na konia ogromny, stary wilk, snać bardzo głodny, bo skoczył odrazu do szyi koniowi, aby go udusić, lecz ten stanąwszy dęba, podbił wilka pod nogi, skoczył naprzód, i nakrył powalonego zwierza saniami. Kiedy następnie z pod pochylających się na bok sani wilk zaczął się wydobywać, odważny żydek Morduch w jednej chwili wskoczył nań jak na konia, schwycił go silnie dwoma rękami za uszy i ścisnął kolanami. Improwizowany wierzchowiec chcąc się pozbyć jeźdźca nieproszonego, zaczął z nim galopować wzdłuż drogi, zygzakiem to w lewo to w prawo. Tymczasem przestraszony koń uniósł sanie wraz z włościaninem Bertoszem w przeciwną stronę tak, że Morduch znalazł się nagle w głuchym lesie sam jeden wierzchem na wilku. Trzymał się jednak dobrze i galopował dalej, i niewiadomo, dokądby zajechał, gdyby nie spotkał wypadkiem w drodze sanek z kilkoma chłopami wracającymi także z jarmarku, którzy na krzyk dziwnego jeźdźca: Zabijajte wołka! dognali go, zsadzili, a wierzchowca zabili kołami. Mężny żydek nie stracił ani na chwilę przytomności. Zdrów i cały pomagał jeszcze chłopom do włożenia na sanki zabitego wilka, który okazał się tak dużym, jak roczne cielę. Wszystkie szczegóły tego wypadku zostały sprawdzone urzędownie. *Czas.*

---

Powszechną i wielce usprawiedliwioną jest skarga na zmniejszanie się liczby zajęcy. Główną przyczyną tego tak przykrego dla myśliwych ubytku jest przeważnie owo nieustanne i różnorodne prześladowanie, jakiemu to zwierzę podlega. Zaprawdę nieszczęsna jego dola. W chwili urodzenia wieje mu w oczy przenikliwy wiatr północno-zachodni, a jeśli młody zajączek nie uległ mrozom, deszczom i zawiejom śnieżnym i gęściejszem już futrem wątły swój korpus pokrył, zagraża mu cały szereg nowych niebezpieczeństw. Lisy, kuny, łasice szukają kryjówki bezbronnego, a cała armija drapieżców opada go, skoro się tylko pojawi, a nawet koty i psy niestrzeżone pożądliwie go prześladują. Lęgi zajęcze aż nadto są narażone na napaści mordercze, samica bowiem nie zawsze znajduje dosyć ochronne miejsce na zabezpieczenie swego potomstwa. Możnaż się dziwić, że pierwszy miot zwykle wyginie? Ale właśnie na owym pierwszym miocie wiele myśliwemu zależy, sowicie wypłaciłyby się starania w celu ochronienia go. Środek po temu nie kosztowny i łatwy do wykonania, który już niejednokrotnie skuteczność swoją wykazał. — Gajowy niech w późnej jesieni lub z zamknięciem polowania, gdy już spokój zalega przestrzenie leśne, w pewnych odpowiednich do tego celu miejscach naskłada wysokie kupy szpilkowego lub liściastego chrustu. W środku powinno być wolne miejsce, a gdzieniegdzie chrust rzadziej nałożony, aby zając łatwiej mógł się do środka dostać. Kryjówka taka zasypana śniegiem i naniesionym przez wiatr liściem daje zającowi zaciszne schronienie w porze niepogodnej lub burzliwej, a oraz zabezpiecza od napaści drapieżców pierwszy jego miot. Gdy młode już tyle podrosły, że wychodzą z kryjówki, to takie kupy chrusty są dla nich bezpieczną ucieczką w każdem grożącem niebezpieczeństwie, toż chronią się one tam zawsze, dokąd na tyle się nie wzmocnią, iż już mogą walkę o byt swój stoczyć, lubo i wtedy wobec tylu nieprzyjaciół smutnej podlegają doli. Robota około złożenia takiej kupy chrustu trwa zaledwo kilka godzin, a trud taki sowicie pomyślnym skutkiem bywa wynagrodzony — więc nie szczędźmy tego trudu dla zabezpieczenia zwierzyny, który nam daje niemało pożytku i przyjemności, bo:

Ludzie, wilki, psy i rysie,
Zęby kocie, kunie, lisie,
Orły, sowy, wrony, kruki
Jastrząb, nawet złodziej sroka
Rwą zająca nam na sztuki.
Więc go nie spuść łowcze z oka!

*„Weidmannsheil".*



Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.